

MARTA OLEJNIK

STRYCH

O ŚRODOWISKU KULTURALNYM
W CZASACH PRL

SPIS TREŚCI

WSTĘP.....	5
PRZECIWNIK.....	8
POLITYKA.....	11
FILOZOFIA.....	19
ZACHÓD.....	21
SZTUKA.....	25
PASJA.....	33
OBRAZ.....	34
POEZJA.....	35
WIĘŹ.....	46
KUL.....	49
TEATR.....	61
LUDZIE ZE STRYCHU.....	72
OPISY ZDJĘĆ.....	76

WSTĘP

Strych kojarzy się z miejscem tajemniczym, nieco ukrytym przed przypadkowym gościem. Jednocześnie budzi zaciekawienie tym, co skrywa, jest obietnicą czegoś zakazanego, oazą rzeczy, myśli, wyobrażeń, które zatrzymały się na chwilę w podróży po świecie realnym. Doświadczenia zgromadzone na strychu zyskują nowe znaczenie i znów wracają do ludzi. Taki był właśnie „Strych Kulturalny”: podziemne czasopismo, które powstawało na poddaszu, w głowach ludzi poszukujących schronienia przed nieprzyjaznym światem.

Nazwa pisma nawiązywała do dziedzictwa pokoleń; zakurzonego, porzuconego gdzieś na strychu, a bez którego ogląd wspólnoty byłby jednak spojrzeniem niepełnym. Dla jednych była to możliwość spotkania ze sztuką, nową myślą, ideą dla innych. Strych kulturalny to więc nie tylko nazwa pisma literacko-artystycznego, to także miejsce spotkań grupy przyjaciół tworzących niezależny obieg kultury. To zaadaptowane poddasze jednorodzinnego domu, wypełnione pracami artystów, obrazami, książkami, z którego widać było okoliczne wzgórza. Przed domem stary kilkudziesięcioletni sad rozłożystych jabłoni z niekoszoną wielokwiatową łąką. Wszędzie dużo zieleni. „Z perspektywy poddasza (strychu) patrzyliśmy na otaczający nas świat, nie zapominając o istnieniu podziemia. Żyliśmy więc trochę dualistycznie: pracując, troszcząc się o codzienne sprawy według reguł komunistycznych, ale duchowo obok – czymś znacznie ważniejszym” – pisał we wstępie do reprintu gospodarz strychu i jeden z redaktorów pisma Marek Kuchciński. („SK” redagowali także Jan Musiał, Mirosław Kocoł, potem Mariusz Kościuk).

Odważnych porównań nie boi się choćby profesor Jarosław Piekalkiewicz: „Strych miał większe znaczenie, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Atmosfera tych zebrań przypominała mi moje zbiórki w Armii Krajowej. Na strychu, jak i w AK, czuliśmy się wolni. Oczywiście podczas wojny ryzykowaliśmy dużo więcej, bo tortury i śmierć, ale dla nas, jak i dla członków strychu „Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy”. Uczestnicy strychu ryzykowali szykany ze strony władzy komunistycznej, może nawet i aresztowanie, a na pewno trudności w ich karierze zawodowej. Jak i my w AK, byli mniejszością, bo większość Polaków uważała, że trzeba żyć.”

„Strych Kulturalny” do dziś jest symbolem. Nie ma w Polsce poważnego eksperta zajmującego się historią kultury i polityką lat 80., który nie widziałby w „Strychu” zarzewia zmian. Nie wybuchł z niego płomień, który strawił całą komunę, ale był jedną z iskieł, jakie rozpałały wówczas wyobraźnię jednostkową i zbiorową. Nawet

najwięksi przeciwnicy Marka Kuchcińskiego przyznają, że potrafił w Przemyślu, na obrzeżach powojennej Polski, stworzyć miejsce dające znak innym: „Możemy sięgać dalej”, przyciągać znanych myślicieli, dodawać wiary młodym aktywistom. Bo skoro udawało się w Przemyślu, z którego bliżej do dzikich Bieszczad niż na salony wielkomiejskich kanap i wielkoprzemysłowych ruchów robotniczych, to dlaczego nie robić solidarnościowej rewolucji gdzie indziej? Uatrakcyjnić ją głębszym namysłem nad człowiekiem, jego miejscem w kulturze, historii, różną ekspresją buntu.

Gdy dziś myślimy o formowaniu się poglądów, natychmiast przyjmujemy obecną rzeczywistość bańki informacyjnej. Jako społeczeństwo atomizujemy się na małe grupy. Ramki ideologiczne zakładamy sobie sami, narzuca je też technologia. Dziś poglądy w znacznym stopniu formatowane są przez bezduszne algorytmy internetowych systemów filtrowania informacji. Mają utrzymywać nas w strefie intelektualnego komfortu, spełniania z góry zdefiniowanych potrzeb. Przemysł lat 80. nie znał takich ram, dzięki temu w jednym miejscu mogła spotkać się kultura niezależna z opozycją rolniczą oraz podziemną Solidarnością. Głęboko katolicka inteligencja znajdowała wspólny język z rolnikiem, którego głównym zmartwieniem był kontrolowany skup trzody chlewnej i siermiężna rzeczywistość PGR. W tygłu namiętności hipisowskich buntowników słowa biskupa przemyskiego Ignacego Tokarczuka. Tradycyjna, polska religijność zderzała się z logiką niejednoznacznej wiary Wittgensteina.

Można więc powiedzieć, że nie chodzi w tym opracowaniu o jednoznaczne uchwycenie tego, co naprawdę wydarzyło się na strychu niewielkiego domku na obrzeżach Przemyśla. Na zawsze pozostanie to interpretacją ludzi, którzy tam bywali. Bo bywali z różnych powodów, poszli różnymi ścieżkami i to było siłą tego miejsca. Dziś jest on oceniany także przez osobę ówczesnego gospodarza. Człowieka równie trudnego do jednoznacznej oceny, co sam „Strych Kulturalny”. Marek Kuchciński – marszałek Sejmu, jeden z najbardziej rozpoznawalnych polityków partii, która rządzi nieprzerwanie od 2015 roku. A może jednak człowiek ze strychu, zgarbiony nad maszyną do pisania marzyciel, usunięty z KUL, otoczony książkami i łaknący wolności podczas długich samotnych wędrówek po Bieszczadach. Ta druga twarz jest niemalże nieznaną. Bębniarz w sztuce awangardowej zaangażowany w scenę, którą kroczył Grotowski, i – wyobraźmy sobie taki arkadyjski obrazek – hipis ganiający po lublińskiej łące, zrywając chabry, maki i kąkole oraz kłosa zbóż na polny bukiet dla koleżanek, które dokarmiały go ruskimi pierogami.

Kuchciński odcisnął najsilniejsze piętno nie tylko dlatego, że był gospodarzem strychu – po prawdzie nie prowadził pisma przecież samodzielnie – ale miał dar organizacyjny. Potrafił przekonać, kogo trzeba do znalezienia powielacza, umiał wyciągnąć spod ziemi ryżę papieru. Łączył w sobie upór z odwagą. W podziemnej Solidarności nie był znany z politykowania. Na Śląsku i Podkarpaciu wiedziano jednak, że jeśli trzeba przerzucić kogoś zagrożonego internowaniem, to wystarczyło pogadać z Markiem, bo potrafił wyciągnąć z jadącego pociągu ludzi poszukiwanych przez SB. Kuchcińskiego cenili biskupi i „szeregowi” księża. Zazwyczaj wolał być jednak w cieniu. „Strych Kulturalny” też zazwyczaj odwołuje się do spuścizny intelektualnej, świdrując świadomość rozmówcy nazwiskami filozofów i historyków.

Trudno jednoznacznie określić, czym był i jaki wpływ na świadomość wielu ludzi miał „Strych Kulturalny”. Profesor Krzysztof Dybciak, historyk i teoretyk literatury, eseista, autor wierszy wspomina wydarzenia kulturalne, nazywane czasem „spotkaniami strychowymi” i numery czasopisma: „Były zjawiskami oryginalnymi na mapie niezależnej kultury istniejącej poza strukturami państwa rządzonego przez komunistów. Jedną z niezwykłych cech było zjawisko przyciągania współpracowników nie tylko z Polski. To naprawdę wtedy było wyjątkowe, żeby tylu artystów oraz intelektualistów brytyjskich występowało w małym (jak na europejską skalę) mieście tuż przy granicy Imperium Zła. A gościli w Przemyślu nie byle jacy twórcy, profesorowie Mark Lilla i Roger Scruton to ważne postaci światowej humanistyki. A jednak wiedza o tak cennym zjawisku wolnej kultury w latach 80. jest mizerna”.

Marta Olejnik



PRZECIWNIK

Egzekutywa KC PZPR: Kultura nigdy nie była i nie może być wolna od wpływu ideologii.

13 kwietnia 1985 w Jarosławiu podczas obrad Plenum KW PZPR poświęconemu stanowi kultury w województwie przemyskim zwrócono uwagę na wymykające się spod kontroli państwa zjawiska kultury, która nie może być wolna od ideologii. Podkreślono brak tolerancji dla „wysokiej kultury politycznej” oraz to, że jej „40-letni dorobek jest ośmieszany, krytykowany i pomniejszany”.

Bircza, Podkarpacie: I sekretarz KG PZPR Ryszard Głąb: „Ta ważna część nadbudowy, jaką jest kultura, jest terenem cichej, nieubłaganej walki, jaka toczy się na całym froncie ideologiczno-propagandowym od czasu powstania PRL [...] Nasi przeciwnicy nie przebierają w środkach, sięgając m.in. do wykorzystania obiektów sakralnych do swoich celów, [...] Walka toczy się przede wszystkim o serca i umysły młodych i najmłodszych [...] Nawet muzykę rockową wprowadzają niektórzy duszpasterze i to przecież nie z umiłowania wrzaskliwego je, je, je, ale dla przyciągnięcia jak najwięcej młodzieży” – s. 127, *Pokolenie '80...*

Właśnie! Strych, na którym Marek Kuchciński zbierał sporą grupę ludzi kultury, wymykał się kleszczom ideologii. Jego bywalcy pochodzili z różnych środowisk i sfer życia, ale wszyscy łaknęli zmian. Łączył ich sprzeciw wobec reżimu i fascynacja szeroko pojętą sztuką. Strych omijał cenzurę i stwarzał warunki do rozwoju kultury intelektualnej. Był wyspą wolności w mieście przepelnionym esbekami, azylem, gdzie ludzie mogli beztrudno, bez cenzury ze sobą rozmawiać. Był to przecież czas stanu wojennego, z utrudnionymi kontaktami w kraju, a już zupełnie z zagranicą. W radiu był muzyczny Luksemburg i Wolna Europa, czasem (dla odprężenia i zabawy) dogmatycznie maoistowsko-markistowska sztekaczka nadawana z Tirany.

W swoim raporcie z lutego 1985 roku, przesłanym do Ministerstwa Kultury i Sztuki, wojewoda przemyski zwraca uwagę na Przemysł jako miejsce, w którym prowadzona jest działalność społeczno-kulturalna – przy spotkaniach duszpasterstw rolników, m.in. w Krasiczynie i Zarzeczu, a filmy o tematyce religijnej wyświetlano podczas Dni Kultury Chrześcijańskiej w kościele oo. Karmelitów, oo. Dominikanów i oo. Franciszkanów (*W cieniu Ołtarza*, T. Krawczak).

KRZYSZTOF SAWICKI:

Połowa lat 80. Wracamy z Krasieczyna po którymś takim spotkaniu i przed wjazdem z Przemyśla blokada: MO, ORMO, cała banda ludzi, szlaban na jezdni, weszli faceci do autobusu, którym jechało nas 5-6, wszystkich zgarnęli. Przywieźli nas na esbecję w Przemyślu. Poinformowali, że każdy dostanie do rozmowy jednego z oficerów ds. kościelnych, którzy przyjechali z Jarosławia. Rozmowa była nudna. Im się już nie chciało nas bić, nam się już nie chciało pyskować.



Przyskrzynili Marka, wypuścili ludzi, głównie spoza Przemyśla i z KUL-u. Jedziemy do Marka taksówką do Ostrowa – umówiliśmy się, że jak nas wypuszczą, to tam będzie zbiórka. Taksówkarz się na nas patrzy – a my wszyscy z brodami, długimi włosami. W końcu mówi: Panowie, słyszeliście? Milicja z ORMO wyłapuje wszystkich z brodami. Ryknęliśmy śmiechem... Przedziwna atmosfera.

Strych mi osobiście służył często do pracy, pracowałem jako redaktor wielu książek w wydawnictwach niezależnych, więc w razie czego miałem parasol Episkopatu itd. U Marka mogłem pracować, co nie było możliwe w Lublinie, w hotelu studenckim, z dwójką małych dzieci. Stan wojenny, rozproszenie, mnóstwo zagubionych ludzi, przyjechałem do Przemyśla, by odszukać Marka, z którym się nie widziałem kilka lat. (1982, 1983 rok). W 80. latach Marek przyjeżdżał do Lublina, został ojcem chrzestnym mojego syna o imieniu Lech – od Lecha Wałęsy, który jasno mówił: „To nie jest system do naprawienia, to jest system do rozwalenia. Jego się nie da reformować”. Marek wtedy siedział w więzieniu i wypuścili go prawdopodobnie, by mógł jechać na chrzest. Do ostatniego momentu jego obecność wisiała na włosku.

JAN KARUŚ:

Raz przychodzę do kościoła, stoi Marek, z tyłu wolna ławka, chcę usiąść. Marek mówi, żebym nie siadał, bo siedzi na niej esbek, który chodził z nim do szkoły. Siadam jednak, a z tyłu Zygmunt Majgier. Oficer dopytuje, co będzie na mszy, punkt po punkcie. Homilię wygłaszał Kazimierz Ryczan, wówczas ksiądz, mówił o polityce. Miałem siedem intencji, które odczytywaliśmy z miejsca: za pomordowanych w stanie wojennym, za niesłusznie aresztowanych, za bitych... Pierwszą intencję wziął Marek, drugą Katarzyna Majgier, trzecią dałem Zygmuntowi, a czwartą jemu. Bardzo ładnie przeczytał i zapytał, co dalej. Odpowiedziano mu, że „prosimy cię Panie”.

Wypowiedziane przez niego słowa wywołały duże rozbawienie. Na drugi dzień mnie zwinęli – że z ich oficera sobie podśmiejchujki robiłem. A ja im mówiłem, że facet chciał się nauczyć modlić.

Marek miał starą toyotę, którą jeździliśmy po całym województwie. Gniazdo było w kościele w Krasiczynie. Ukrywało się tu mnóstwo ludzi, m.in. Wiesiek Nowacki. On wtedy udał, że zachorował, a my żeśmy wykradli go ze szpitala. Kiedyś pojechaliśmy do Krakowa, do Czerny. Przyjechał ksiądz Sadłowski, aktorzy... było to spotkanie opozycyjne. SB ustawiło reflektory, oświetliło budynek, ale nie weszło do środka. Z Markiem mieliśmy odebrać stamtąd bibułę. Doradzili nam polną drogę, na Opatów. Cała toyota załadowana bibułą i książkami. Wyjechaliśmy, przejechaliśmy przez Kraków i nikt nas nie zatrzymał. Tych, którzy byli na spotkaniu, połapali wszystkich. Stali na drodze, bo liczyli, że przez pola nikt nie przejedzie. Wówczas sądem był za ulotkę, co dopiero za samochód, który się od nich ugiął.

MARIUSZ OLBROMSKI:

Granica ze Związkiem Radzieckim była z obu stron szczególnie obsadzona. To nie była granica przyjaźni, tylko druty... Strych też był inwigilowany. Esbecja przymykała jednak trochę oko. Można teraz gdybać... Z jednej strony mógł być to wentyl bezpieczeństwa, z drugiej możliwe, że chcieli namierzyć tych najbardziej aktywnych.

MAREK KUCHCIŃSKI:

Pojęcie pogranicza dla nas przemysłań jest żywym odniesieniem w wielu dziedzinach życia. Na pograniczu kultur, narodów... naturalną rzeczą było wprowadzenie ich w kulturę i sztukę. Pogranicze kształtuje twarde charaktery.

JAN MUSIAŁ:

Kultura buduje się na obszarach wielu niezależności. Jednym z nich jest niezależność od stereotypów negacyjnych, środowiskowych, mód sezonowych. To, co robiliśmy, było oczywiście odtwórcze, lecz bez pretensji do zadyszanej naddążania za obowiązującą twórczością.

POLITYKA

Miejsce na obrzeżach miasta, osłonięte drzewami, niepozorne (bo dom do okazałych nie należał i swoją skromnością raczej wielkiej uwagi nie przyciągał) zdawał się stworzony do tego, by rościć sobie prawo do uznania go za dobre schronienie. Sam Przemysł także był miejscem, które komunistyczna władza uznawała za reakcyjne, ale był dostatecznie daleko od głównego nurtu wzmagającego się buntu, by pacyfikację odsuwać na dalszy plan. W ten sposób królewskie miasto przyciągało tych, którzy szukali z jednej strony ustronnego miejsca do wymiany myśli, z drugiej mogli spotkać ludzi zdeterminowanych, by ideę przerzucić w inne rejony kraju.

Strych tworzył więc podwaliny wolnej politycznej myśli. Nie mogło na nim zabraknąć polityków. Dzisiejsza perspektywa nakazująca nam wymieniać znane postaci obecnej sceny jest złudna. Wśród osób z pierwszych stron gazet bywali na nim Jarosław Kaczyński, Ryszard Legutko, Korwin-Mikke, Leszek Moczulski, Zbigniew Romaszewski, Ludwik Dorn. Warto jednak pamiętać, że w latach 80. opozycja była w dużym stopniu bezimienna. Kogo zatem wymienić? Zygmunta Majgiera, a pominąć księdza Stanisława Bartmińskiego? Jeśli w niniejszym opracowaniu brakuje jakiegoś ważnego wtedy nazwiska, to nie przez ich marginalizację, ale przez uproszczenie konieczne dla opisanie pewnego zjawiska.

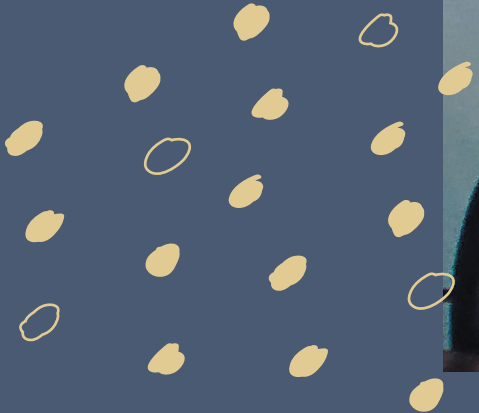
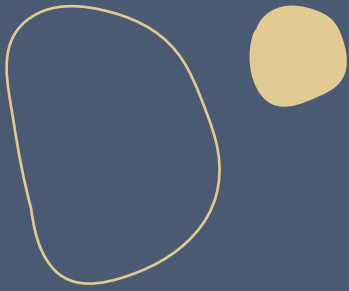
KRZYSZTOF SAWICKI:

Chodziło nam przede wszystkim o budowanie – w wymiarze politycznym, intelektualnym – środowiska konserwatywnego. Marek Kuchciński myślał już wtedy kategoriami bardziej partyjnymi. To był zwierzak polityczny.

W marcu 1989 roku na strychu blisko 10 godzin (**bez przerwy!**) rozprawiano o tym, czy i jak być konserwatystą w PRL.

RYSZARD LEGUTKO:

W Polsce zmieniło się wszystko. Jeżeli więc ktoś chciał być konserwatystą w tych czasach, musiał wpaść w rozpacz, ponieważ poczucie dysgustu odrzucenia starego systemu wiązało się z potrzebą zmiany wszystkiego. Dziwny to konserwatysta, który wszystko chce zmienić... Wizytówką zmian była sfera polityczna. Charakterystyczne dla niej było to, że dokonywała się pod hasłem modernizacji, a to jest niemiłe konserwatystom.





ANDRZEJ MAZUR:

Myślę, że Marek zrozumiał bardzo wcześnie, że działalność polityczna, działalność na rzecz społeczeństwa, regionu, miasta bez uwzględnienia kultury jest martwa. Nieposiadająca uzasadnień. No bo po co? Dla rozwiązania problemów publicznych, które zawsze są złożone, potrzebne jest miejsce do intelektualnego ich przedyskutowania. Powtarzam – intelektualnego. Z jasnym tematem, jasno wyartykułowanym, z gwarancją dyskusji i rozmowy na odpowiednim intelektualnie poziomie.

Jest oczywiste, że duży wpływ na ten kierunek poszukiwań Marka: stopienia myślenia o sprawach politycznych ze sprawami kultury miał Przemysław z jego ponad tysiącletnią historią. I ponad tysiącletnią kulturą czytelną w zabytkach architektonicznych i leksykonie osób, które mieszkają tutaj przez te wieki i tworzyły dzieła sztuki i instytucje kultury, edukowały społeczeństwo. Ale nie przesadzajmy. Wiele osób żyje i rozwija się w miastach o podobnych walorach i nie wyciąga z tego żadnych wniosków.

Niemniej należy dostrzec i zauważyć ten fakt jako podstawowy – gdyż pokazuje, jakie można wyeksplikować kierunki myślenia politycznego z faktu mieszkania w mieście o charakterze kulturowo-ekologicznym i umiając współpracować z komiltonami myślącymi podobnie.

Spotkania strychove zawsze prowadził Marek Kuchciński, przedstawiając najpierw gościa – czy to miejscowego, krajowego, czy zagranicznego, a po prelekcji moderował dyskusję; rodziły się wówczas przeróżne pomysły... Emocje dyskutantów brały niekiedy górę i to on obwieszczał koniec dyskusji, zapraszając chętnych do pozostania i kontynuowania rozmów.

ROBERT CHOMA:

Pobyty tam dla młodych ludzi były czymś nowym, głębokim przeżyciem. Marek inspirował, był moderatorem. Już wtedy pił zieloną herbatę, która wydawała się czymś paskudnym. Dostawaliśmy dawkę informacji, które wtedy były dla nas zupełnie obce. Treści od głębokich po wydające się dziś banalne. Wszystko było gęste od polityki, od nadziei, że będzie zupełnie inaczej. Chodziliśmy w koszulkach z napisem „PC – najlepszy środek przeciwko muchom (KOMuchom)”. Marek był bardzo zaangażowany. Niebagatelną rolę w ściąganiu ludzi odegrał Jan Musiał. Markowi i Janowi chodziło o to, by bez względu na to, jak pejoratywnie kojarzy się prowincja, przyjechać tu i przekazać treść. Pokazać spojrzenie na politykę wschodnią. Jarosław Kaczyński mówił, że też wiele się tam uczy, że przyjeżdża w miejsce, gdzie jest wielkie przywiązanie do tradycji, do kultury, do religii. Tu jest wszystko poukładane.

WALDEMAR WIGLUSZ:

Czasem spotkania na strychu poprzedzało wspólne przyrządzenie leczy w kuchni na parterze – ze wszystkich możliwych warzyw. Czasem goście z Zachodu przywozili ze sobą egzotyczną w Polsce whisky, która cieszyła się uznaniem, ale spotkania nigdy nie miały cech alkoholowych biesiad. Strych wypełniony był regałami z książkami, gospodarz prenumerował m.in. wszystkie wydawnictwa „Znaku”. Marek zajmował się wtedy uprawą pomidorów szklarniowych, a sprzedawał je o poranku na giełdzie na Śląsku. Z domu wyjeżdżał nocą. Razu pewnego, jak opowiadał, z niewyspania zasnął nad kierownicą i znalazł się w rowie, ale pomidorom, na szczęście, nic się nie stało. Na marginesie: już wtedy jeździł używanym samochodem marki Toyota. W PRL-u mówiło się: „masz Japońca, jeździsz do końca”, a Służba Bezpieczeństwa nadała Markowi kryptonim „Toyota”.

Na strychu Leszek Moczulski – szef Konfederacji Polski Niepodległej – mówił o dosyć bezbarwnym temacie, jakim są systemy wyborcze. Zostałem na rozmowę po prelekcji prawie do rana. Mówił o mechanizmach wyborczych, o ich wadach i zaletach, rachunkowo-matematycznych kombinacjach. Byłem zafascynowany, że na ten temat można mówić tak ciekawie całą noc.

Wybór jednym głosem Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta przez Zgromadzenie Narodowe za poradą ambasady amerykańskiej dowodzi, że nie słuchano wtedy „Mocza”. Innym szczególnie zapamiętanym spotkaniem było to o sztuce i egipskim kościele koptyjskim z panią archeolog (dr Elżbieta Makowiecka z Muzeum Narodowego w Warszawie, siostra Stefana Funia – zaraz po powrocie z wykopalisk w Egipcie, jeszcze czarna od słońca...). Zbiegło się ono w czasie z ogłoszoną kolejną podwyżką cen i dlatego to spotkanie było obserwowane przez Służbę Bezpieczeństwa. Wracałem na piechotę z małym synem, niosąc go na barana. Całą drogę do Przemysła towarzyszył mi biały fiat; żałuję, że nie poprosiłem ich wtedy o podwiezienie. Poza tym innych incydentów nie pamiętam, ale zapewne była prowadzona dyskretna obserwacja, przynajmniej zapraszanych gości.



KSIĄDZ STANISŁAW BARTMIŃSKI:

Nasza współpraca sięga czasów hipisowskich i trwała ok. 10 lat. Potem Marek Kuchciński wszedł na inne tory, założył „Strych Kulturalny”, ja mu trochę pomagałem. Przekazywałem prasę, sprzęt, Marek dary – np. warzywa. Wspólnie objeżdżaliśmy Polskę, organizując pomoc dla rolników.

Marek był zawsze niezawodny, jeśli chodzi o pomoc dla Śląska. Wspólnie z grupą Marii Klimowicz przetrzucał internowanych do naszej diecezji. Żonę Tadeusza Jedynaka – Marię z córką, którą straszono, że znajdą ja zabitą albo zgwałconą, trzeba było przetrześć ze Śląska. Wsiadła do pociągu w Katowicach, miała wysiąść w Żurawicy, gdzie czekał na nią Marek Kuchciński z Zygmuntem Majgierem. Była przerażona, bo pociąg się nie zatrzymał. Wykradli ją samochodem (toyotą właśnie) z pociągu i przetrzucili do Birczy, gdzie mieszkała.

Ona była pewna, że wiozą ją do Rosji. Przewoził także księdza Sadłowskiego, którego chcieli aresztować. Do Korytnik, potem Marek go wywiózł w świat (pierwsze miesiące stanu wojennego, rekolekcje, przetrzucanie po kazaniu księdza bpa Tokarczuka na Jasnej Górze). To była duża akcja.

MAREK KAMIŃSKI:

W 1983 roku przyszedł do mnie Marek Kuchciński i powiedział, że jest potrzeba przetrzutu do Związku Sowieckiego egzemplarzy Pisma Świętego w języku rosyjskim. W pierwszej chwili osłupiałem i się zachnąłem, że mnie pakuje już nie na kolegium ds. wykroczeń, tylko wprost do kryminału! I to być może sowieckiego! Po chwili jednak ochłonąłem i powiedziałem, że zorientuję się, na ile ta sprawa jest realna. Marek z kolei zapewnił, że księża po tamtej stronie granicy – w Mościskach i we Lwowie – wiedzą o wszystkim i mają swoich zaufanych parafian pracujących na kolei, którzy są gotowi odbierać „przesyłki”.

Pomyślałem, że szansą byłby tu kolejowy suchy port przeładunkowy rosyjskiej rudy żelaza koło Medyki. Być może kolejarze zaangażowani w solidarnościowym podziemiu mogliby jakoś przemyścić przez kolejowe przejście graniczne taką „biblijną przesyłkę”. Poprosiłem więc wypróbowanego działacza kolejarskiej Solidarności Staszka Barana o rozeznanie się w tej sprawie i ewentualnie zorganizowanie takiego przetrzutu. Nie miałem pojęcia, jak to się rozwinie i czy uda się Staszкови to zorganizować oraz ile będzie tych egzemplarzy. Aż tu Marek Kuchciński przywozi mi swoją starą toyotą 5 wielkich paczek, każda po 2 tysiące egzemplarzy Pisma Świętego. Kompletnie zbaraniałem i przeraziłem się. No bo mogłem wyobrazić sobie przemycenie przez granicę 50 czy 100 egzemplarzy, ale nie 10 tysięcy!

Po jakimś czasie zjawia się u mnie Staszek Baran z szerokim uśmiechem i mówi: „Załatwione. Koledzy, którzy jeżdżą z pustymi szerokotorowymi składami na tamtą stronę, zgodzili się. Gdzie masz te Pisma Święte?” Z ciężkim sercem pokazuję mu te wielkie paczki książek, a on na to: „Trochę dużo tego, ale spróbujemy to jakoś ukryć w towarówkach po rudzie.

No i tak zaczęły się te nasze przerzuty, które trwały od 1983 do 1988 roku. Transporty po około 10 tysięcy egzemplarzy każdy, przerzucały przez granicę dwa lub trzy razy w roku. Wszystko to robione było według zasad konspiracji. Domyślałem się, że akcja była inspirowana przez biskupa Ignacego Tokarczuka. A może nawet i przez Watykan? Bo te rosyjskojęzyczne książeczki były niezwykle pięknie wydane. Zatrzymałem sobie jedną na pamiątkę: druk bardzo dobrej jakości na niezwykle cienkim i mocnym papierze, w eleganckiej czarnej oprawie z bardzo dobrej imitacji skóry. Książka była jak marzenie. Naprawdę, przepięknie wydana, a że do tego i po rosyjsku, więc mało prawdopodobne, żeby drukowano ją w Polsce.

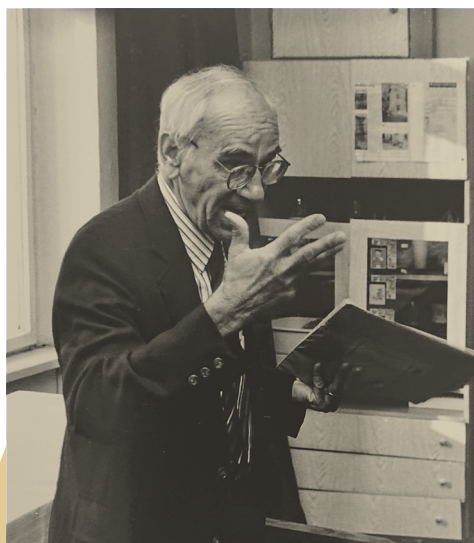
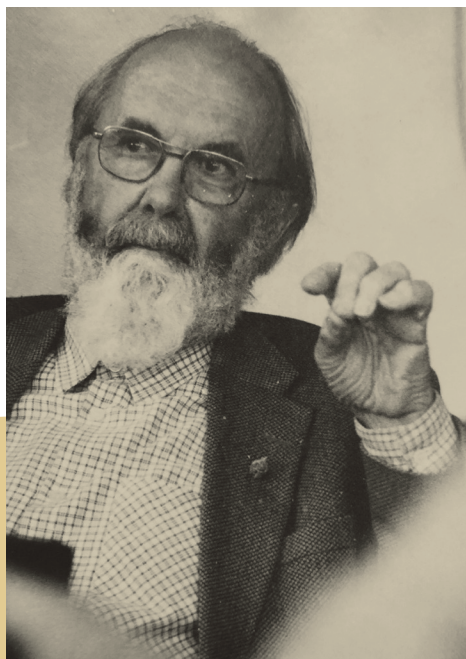
Przez te pięć lat przemyciliśmy do Sowietów ponad 100 tysięcy egzemplarzy. I na szczęście, nie było żadnej wpadki, ani po naszej, ani po tamtej stronie granicy. Ryzykowaliśmy sporo, ale myślę, że to była wielka rzecz, która na pewno w jakimś stopniu wpłynęła na świadomość tamtych ludzi i na ostateczne odrzucenie przez nich komunizmu. (Spisał w 2016 r. Jacek Borzęcki)

MAREK KUCHCIŃSKI:

Demokracja, dyktatura to słowa zakłęcia rozpalające po okrągłym stole żarliwe dyskusje w krótkich okresach „oddechu” pomiędzy kampaniami wyborczymi, zajmującymi rokrocznie czas tysiącom ludzi, z godnym podziwu uporem szlifującym techniki gier politycznych. I my nie stroniliśmy od nich, nie chowaliśmy w strychowych pieleszach. Wydaje mi się, że pomagała nam w tym wewnętrzna potrzeba przeżywania pasjonujących przygód. Bo przecież to, co działo się od kilku lat w Polsce i wokół niej, to nie tylko przemyślane tworzenie historii, ponieważ zasadnicze problemy społeczne i polityczne pozostawały na poziomie lęklwych dyskusji w całej Polsce prowincjonalnej. A więc z intuicji wyrosła przygoda w poszukiwaniu innego „stylu życia”.

I chociaż w Przemyślu strych próbował nadążyć za tą rewolucyjną lokomotywą, ba! często wskazywał jej kierunek (i to nie tylko lokalny), skutkiem czego spotkania z ludźmi sztuki ciążyły do polityki, do idei etc., to rytm zmian wyprzedzał naszą percepcję i prawie każdego dnia niósł nowe wydarzenia. Nie wszyscy te przeciążenia wytrzymywali.

Nie byłoby oczywiście strychu jako miejsca, w którym szlifuje się ów „styl życia”, gdybyśmy nie rozmawiali i to wyłącznie o sztuce. A nawet o związkach sztuki z czymś, co można określić jako niewyraźna tajemnica aktu twórczego, co artyści lubią określać przekraczaniem bariery czasu albo pokonaniem przemijania.



FILOZOFIA

Strych to zazwyczaj najwyższa kondygnacja w każdym domu, to z jego okna można widzieć więcej, spojrzeć dalej i odnaleźć na horyzoncie sygnały wcześniej niż z niższych pięter. To okno na świat dla najbardziej ciekawych. W Przemysłu z tego okna wypatrywano nie tylko innych ulic, ale i krajów czy kontynentów. Rzecz jasna w przenośni, bo wymiana myśli prowokowała do podróży w głąb spraw ważnych, do regionów badanych przez innych, gdzieś, daleko. W latach 80. inaczej postrzegano dystans fizyczny niż dziś. Podróże były mniej realne, więc wymiana poglądów często zaczynała się od mozolnych korespondencji.

Związani ze strychem artyści nawiązali przyjaźnie z artystami angielskimi, niemieckimi czy amerykańskimi, z przedstawicielami różnych fundacji, którzy przyjeżdżali np. na KUL z wykładami, czy z brytyjskimi konserwatystami ze środowiska Margaret Thatcher.

Wśród kilkudziesięciu strychowych indywidualności, ludzi sztuki i polityki z kraju i zza granicy szczególnie miejsce zajmuje filozof z Uniwersytetu Londyńskiego, wydawca kwartalnika „Salisbury Review” – Roger Scruton. W Przemysłu poprowadził kilka strychowych spotkań, m.in. „Lewica i konserwatyzm”, „Związki zawodowe i prawo”, „Zasady polityki konserwatywnej”. Strychowicze czytali wydaną w podziemiu książkę Scrutona „Myśliciele nowej lewicy”. Wówczas duże znaczenie wywarła na nich informacja, że za poglądy zwolniono go z uczelni. „The Solisbury Review” od momentu swego powstania było zawzięcie szykanowane. Współpracownicy byli straszni utratą stanowisk czy stypendiów naukowych.

Scruton w latach 80. razem z baronową Caroline Cox i Jessicą Douglas-Home założył „Jagiellonian Trust”. Z grupą przyjaciół, głównie ze środowisk naukowych i akademickich, wspomagał antykomunistycznych działaczy w Polsce, Czechosłowacji i na Węgrzech, głównie poprzez wysyłanie konspiracyjnych wykładowców (nielegalnymi kanałami) potrzebnego sprzętu, zwłaszcza powielaczy oraz publikacji przybliżających idee demokracji i konserwatyzmu.

ROGER SCRUTON:

W latach 80. okres Solidarności był już wspomnieniem, a stan wojenny zredukował Polskę do pewnego rodzaju somnambulicznej ciszy. Podróżowałem w poszukiwaniu małych grup ludzi, którzy chcieli dyskutować, uczyć się, zadawać pytania i odzyskać choćby część życia intelektualnego, które kiedyś kwitło w Polsce. Spotykali się, nie tak jak nasi znajomi z Czech, w jakiejś piwnicy lub kotłowni pod ziemią, ale

na szczytach budynków, jakby ich nie obchodziło, kto może ich zobaczyć. Ich grupa dyskusyjna została opisana jako strych, miejsce pod dachem, i gdy ich spotkałem, znalazłem się w otwartym społeczeństwie normalnych ludzi, którzy byli zdeterminowani, by żyć, malować, pisać i dyskutować, jakby partia była niczym więcej niż strumień brudnej wody płynącej w ściekach poniżej. Na ich czele stał Marek Kuchciński, dawny student historii sztuki, który żył poza systemem i był gorliwym wyznawcą kultury jako wyzwolenia ducha i przeciwstawienia się porządkowi totalitarnemu. Wokół niego zgromadzili się pisarze, malarze, nauczyciele, i to dzięki niemu udało mi się zorganizować serię wizyt zachodnich intelektualistów, aby omówić na tych strychach najważniejsze zagadnienia dnia.

W polską kulturę opozycyjną zaangażowałem się bezpośrednio pod wpływem odwiedzenia Polski w 1979 roku, zaraz po wizycie papieża Jana Pawła II w jego ojczyźnie. Byłem pod wielkim wrażeniem tej atmosfery. Panowały ogromne napięcia, strach, a jednocześnie wszędzie małe nasiona nadziei. Pomyślałem, że skoro one tu są, to powinienem próbować je podlać, tak żeby pozwolić im rosnąć. Mieliśmy duże szczęście, poznając wówczas Marka Kuchcińskiego, który zaprosił nas do Przemyśla – pięknego i starego środkowoeuropejskiego miasta, będącego ośrodkiem własnej, lokalnej kultury.

Przemyśl jako jedno z pierwszych miast zrzucił z siebie ponure komunistyczne więzy. Poprzez Marka Kuchcińskiego Scruton zaczął tworzyć sieć kontaktów. Zajmująca się myślą filozoficzną grupa sprawiała, że życie miasta stawało się ciekawsze i swobodniejsze.

ROGER SCRUTON:

W Przemyślu ludzie żyli, zaprzeczając oficjalnemu rozróżnieniu pomiędzy szeptami prywatnego życia a nakazami życia publicznego. Ulice były ożywione i radosne nawet w godzinach nocnych. Mogłeś chodzić po nich tak jak w Londynie, rozmawiając swobodnie z przyjaciółmi, albo stać i oczekiwać na kogoś, bez zwracania na siebie uwagi jakichś umundurowanych postaci. Zupełnie inaczej niż w Warszawie, gdzie wszędzie były patrole milicyjne gotowe w każdej chwili kontrolować aktywność przechodniów. Polsce odebrano jej tożsamość, którą zachowywała niezależnie od działań Stalina czy Hitlera... To był kraj spowity własną, tajemniczą aurą, gdzie czułem oddech agresji. Kraj przepiękny strachem, w którym ludzie mówili szeptem lub siedzieli w ciszy... Kiedy szedłem, słyszałem kroki, które cichły, kiedy stawałem...

ZACHÓD

A właściwie... Wschód. Przemysł to miasto, z którego bliżej czasem do Austrii, niż Wilna. Choć przysłowiowy rzut kamieniem dzieli dom na ulicy Węgierskiej od Ukrainy, to silne piętno na historii odcisnęła austriacka armia. Jeśli więc myślimy o „Strychu” jako pograniczu kultur, idei, to pogranicze geograficzne, historyczne miało na takie postawy ogromny wpływ. Polacy na Wschodzie to ludzie otwarci na inne kultury, żyjący w tyglu religijnym i jednocześnie przez pokolenia pielęgnujący swoje korzenie, dające im poczucie stabilizacji. Kolejne wojny, rozbiory zostawiały po sobie strach, ból, ale i nową kulturę. Nic więc dziwnego, że „Strych” musiał sięgać do źródeł myśli, które płynęły na Zachodzie Europy. Kontakty „zachodnie” miały również aspekty praktyczne. Dzięki nim możliwa była prenumerata czasopism, co w tamtych czasach było wielkim luksusem. Zyskano także kserograf, elektroniczną maszynę IBM – szmuglowane przez granicę, na których powielano pierwsze numery „Strychu” i oczywiście całą masę bibuły.

Jednym z ważniejszych pomysłów edukacyjnych było zorganizowanie we wrześniu 1990 roku w Krasiczynie polsko-brytyjskiego Sympozjum Samorządowo-Obywatelskiego. Organizatorem było Przemyskie Towarzystwo Kulturalne (czyli strych) i Fundacja Jagiellońska Rogera Scrutona i Marka Matraszka. Razem z Zygmuntem Grzesiakiem pilotowali całe przedsięwzięcie. A udało się znakomicie. Przez tydzień od rana do wieczora trwały sesje dyskusyjne. Świetni prelegenci. Politycy krajowi i lokalni (samorządowcy), uczeni, posłowie brytyjscy i polscy, senatorowie, działacze związkowi i ekologowie.

MAREK KUCHCIŃSKI:

Głównymi referentami byli z naszej strony senator Andrzej Machalski i zaproszony z Warszawy dr Zdzisław Najder (wówczas przewodniczył Komitetowi Obywatelskiemu przy Lechu Wałęsie), Jacek Bartyzel filozof konserwatywny, a z brytyjskiej Roger Scruton, a także posłowie Izby Gmin David Tredennik, Joe Brazier, Antony Coombs, a z Oxfordu profesorowie David Regan i Zbigniew Pełczyński, związany z Fundacją Batorego, który zalecał daleką ostrożność w podejmowaniu środków radykalnych politycznie. Był jak gdyby po stronie polityki Tadeusza Mazowieckiego i całego środowiska późniejszej Unii Demokratycznej. Natomiast dr Najder opowiadał się nie tyle po stronie Lecha Wałęsy (stwierdził jedynie, że wygra on wybory prezydenckie), ile elegancko dystansował się od koncepcji monopolizowania sceny politycznej przez stronników premiera Mazowieckiego. Wskazywał na nadal znaczną rolę komitetów obywatelskich, które miały wówczas tę potencjalną siłę, że nie stanowiły

monolitu ideologicznego i powinny były pozostawać takim forum, tym bardziej że kolejne wybory za pasem znacznie utrudniały prace ideowe. Okazało się jednak, że wśród lokalnych działaczy zdania były jeszcze bardziej podzielone.

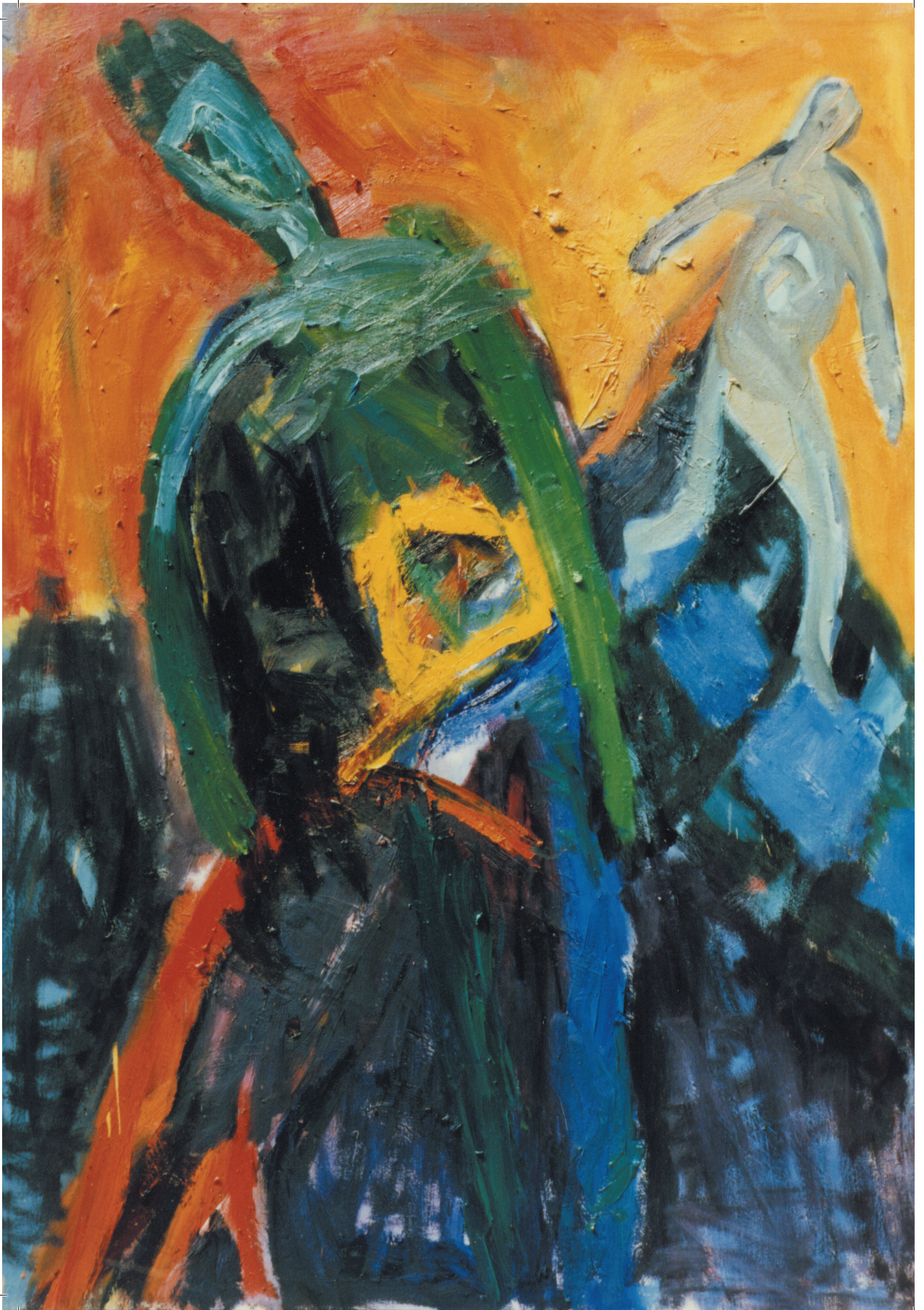
Oczywiście, jakżeby miało sympozjum odbyć się bez sytuacji przezabawnych. Takie towarzyszą nam przy każdym już prawie spotkaniu. Według dyplomatycznych europejskich zwyczajów sesje przerywano poczęstunkami, a wieczorami odbywały się party z dobrym alkoholem. Jedno z nich uświetnił recital wiolonczelowy Marka Zazuli w starych zamkowych murach i obecność ostatniego z rodu Sapiehów, księcia Michała. Ten niezwykle wysoki, z wielką głową i czerwonym nosem dziś mieszkaniec Belgii witał wchodzących w ciemnościach w mury zamkowe gości jak zjawę, duch dawnych wieków, falujący w świetle migocących gdzieś gdzieś swiec swoim ogromnym cieniem, potęgowanym chronicznym stadium remontu, który się w zamku odbywał. Zaproszeni musieli przejść (przebiec) kilkaset metrów do bramy zamkowej (oczywiście bez wrót) w szalejącej i nieprzewidzianej burzy nad Krasiczynem. Gości brytyjskich zaskoczyła propozycja, by zamiast parasoli użyli krzesel. I elegancyści starsi panowie w muchach, błyszczących mesztach i w kant wyprasowanych smokingach i żabotach nieśli ciemnym zupełnie parkiem owe krzesłoparasole. Jeden z nich (chyba David Regan) rzekł mi, że gdybyśmy byli w Anglii, to byłby precedens zapisany w prawie zwyczajowym, rzecz to bowiem niesłychana dotąd, by postowie krzesła nosili. Marek Matraszek odpowiedzialny za nich był przez chwilę spocony ze złości, czy nie skończy się to potężnym afrontem. Szczęściem nasze poczucie humoru zrozumiano właściwie (wymyślił to Zygmunt Grzesiak).

Do najciekawszych strychowych spotkań Marek Kuchciński zalicza te z Davidem Selbournem – zarówno na strychu, jak i podczas rajdów po województwie wspólnie z kandydatami do parlamentu w wyborach czerwcowych 1989 r. Wspomina go jako niezwykle człowieka. Prawnik z wykształcenia i dwudziestoletni wykładowca filozofii w Oxfordzie. Człowiek tragicznie doświadczony swoim „flirtem” z lewicą. W 1980 roku zaczął krytykować lumpów proletariackich, ludzi złych i głupich, będących motorami eksmarksistowskich idei rozpowszechnianych na Zachodzie. Wędrując po Europie Środkowej, poznał prawdziwy socjalizm. Strych nazywał enklawą wolności.

DAVID SELBOURNE:

W zagrodzie, blisko Przemyśla, w najdalszym zakątku Południowo-Wschodniej Polski, w środku nocy zmęczeni pracownicy kampanii wyborczej rozmawiają o telefonach organizatorów, które zostały tajemniczo zawieszono, o śledzeniu ich przez cywilną milicję i innych normalnych nękaniach. Słabe światło świeci nad kuchennym stołem; w jego bladej poświacie otoczonej ciemnością widać brody i pulowery, zmęczone oczy, krucyfiks na szyi, ogłoszenia i plakaty Solidarności. Drogą w dół, w odległości zaledwie 9 mil jest Związek Radziecki, a 50 mil dalej w głąb Ukrainy jest Lwów, który niegdyś był polskim miastem (...) W Komitecie przemyskim są katolicy intelektualiści, niezależni rolnicy, socjaldemokratyczni członkowie miejscowego ruchu Solidarności Robotników i przedstawiciele w dużej mierze konserwatywnej organizacji kulturalnej... Kubki z kawą i kseroksy, papierosy i zapałki podawane przez stół z jednej braterskiej ręki do drugiej: caramaderia jest typowa dla lewicy Zachodu drugiej połowy lat 60. Ale tutaj jest zacięcie antykomunistyczne, dla wielu również antysocjalistyczne. Tutaj placed miejscowego biskupa Ignacego Tokarczuka, a nie impri-matur Mao czy Trockiego, kieruje czynami tych brodatych, radykalnych, w dzinsy odzianych ludzi. (...) Pod biało obwieszonymi akacjami rozległego ogrodu ojców franciszkanów milczący, powściągliwy tłum (...) z oddali dobiega hałas ruchu ulicznego; kobieta na skraju tłumy lekko kołysze dziecko w wózku. To tak, jakby wszyscy szli we śnie w tym cichym zakątku, albo śnili o znalezieniu jakiegoś innego sposobu, jakiegokolwiek innego sposobu życia. A ktoby tak nie robił? (...) Tadeusz Trelka, mocny chłop z brodą kandyduje do Sejmu: „Będziemy walczyć o życie dla narodu”, wykrzykuje, pięści zaciśnięte, tłum bije brawo, niektóre czoła zmarszczone i zaniepokojone. (...) Ale oto 51-letni Janusz Onyszkiewicz, jasnowłosy mężczyzna, w angielskiej koszuli w kratę i granatowej marynarce: „Jestem w kontakcie ze światem międzynarodowej polityki”, mówi donośnie. „Rozmawiałem z Margaret Thatcher”. Z trybuny dostrzegam na przemian nieufne spojrzenia i uśmiechy wyrażające nadzieję...”

„The Independent Magazine”, 1989 r.



SZTUKA

Selbourne jest też łącznikiem światów. Nie do końca reprezentatywnym lub istotnym dla losów strychu, ale właśnie doskonale nieprzypadkowym. Brytyjski historyk idei, filozof polityki, który rusza na Wschód, by opisywać upadek komunizmu. Trafia do miejsca, w którym odnajduje coś, czego się nie spodziewał. Filozofowie, księża, rolnicy, poeci, marzyciele. Rozprawiają o brutalnej walce politycznej otoczeni obrazami, z wytartymi od wielokrotnego czytania tomami poezji w plecakach z bibułą nawołującą do protestów. Selbourne znał to z Oxfordu, ale to był ośrodek akademicki. Przemysł to bardziej ośrodek religijny, tym większą fascynację budził w nim wielowymiarowy kontekst przemian społecznych w Polsce. Przemian, które swoją siłę czerpały między innymi ze sztuki. To szeroko pojęta kultura była doskonałym nośnikiem idei w kraju tłamszonym wówczas przez PZPR-owską propagandę. Dla Brytyjczyka odnalezienie na wschodzie Polski cząstki Oxfordu było czymś zastanawiającym.

MAREK KUCHCIŃSKI:

Inspiracją dla „Strychu” były również przyjazdy ludzi sztuki, takich jak choćby Edward Robinson, Margaret Steele Hunter z Berlina czy Helen Ganly z Oxfordu, choć pojawiały się i rodzime talenty, jak poeta Tomasz Jastrun czy Józef Kurylak, znawca literatury światowej, którego tragicznie wampirowska pasja na długo wywarła piętno na niektórych bywalcach strychu. Pieklił się często i był okropnie nieznośny idealnie absolutną pewnością.

MARGARET STEELE HUNTER:

W 1988 roku zostałam zaproszona do wzięcia udziału w zorganizowanej przez Solidarność wystawie, która miała się odbyć pod łukami podziemnych komnat imponującego kościoła oo. Franciszkanów.

Był to jeszcze czas zimnej wojny, a Kościół katolicki i związki zawodowe w Polsce połączyły się w pokojowej opozycji przeciwko rządowi i władzy. Wydawało się, że wydarzenia artystyczne były dla nich rodzajem wehikułu umożliwiającego spotkania.

Początkowo były to frustrujące starania o wizę, aż skontaktowałam się z British Council z prośbą o pomoc, w rezultacie czego została mi ona przyznana. Mój niemiecki



partner Joachim i ja wyruszyliśmy z Berlina samochodem kombi, obładowanym bagażami i obrazami. Dotarliśmy aż do granicy polsko-niemieckiej, gdzie napotkaliśmy następną przeszkodę w postaci młodego, wzburzonego strażnika. Celował z pistoletu w obrząz z tyłu samochodu, wyraźnie domagając się odpowiedzi na pytanie, o co tu chodzi. Próbowałam tłumaczyć po angielsku, a potem po niemiecku, ale otrzymałam tylko gniewne „Nie!” Joachim pośpiesznie poradził mi, abym pokazała moje oficjalne zaproszenie. Zaskoczony młody strażnik wyglądał poważnie, powoli skinął głową i podał mi kartkę: „Autograf!” – zażądał.

Podróżowaliśmy przez piękną polską wieś sprzed Unii Europejskiej, z niezapomnianym widokiem małych malowniczych gospodarstw, ale nierównymi drogami. Na pewnym etapie, wzdłuż dwupasmowej drogi, oddzielonej pasem trawy, natknęliśmy się na starszą kobietę prowadzącą wzdłuż trawy na grubym sznurze krowę. To wyglądało jak scena z innego wieku. W mroku wieczoru za rogiem mógł nas zaskoczyć pędzący koń i wóz bez świateł.

W końcu dotarliśmy do Przemysła. Musieliśmy skorzystać z pomocy taksówkarza, który zaprowadził nas pod adres, gdzie mieliśmy się zatrzymać. Była to duża, stara willa pogrążona w całkowitych ciemnościach. Nie było tam nikogo, więc poprosiliśmy taksówkarza, aby zaprowadził nas do hotelu. Było tam ciemno, ponuro i żadnych oznak życia aż do momentu, gdy w bramie pojawiła się kobieta, która nieśmiało poinformowała nas, że nie ma miejsc. Po długiej podróży byliśmy zmęczeni i sfrustrowani.

Wróciliśmy na podjazd starej willi i zasnęliśmy w samochodzie. Obudziła nas hałaśliwa grupa mężczyzn wyskakujących z furgonetki. Wprowadzili nas do dużej kuchni, gdzie jeden z nich walił pistoletem w stół, zauważając, że „to będzie musiało być rozwiązanie”. W tym momencie chciałam wsiąść do samochodu i wrócić prosto do Berlina. Ponieważ pistolet okazał się tylko przekonująco wyglądającą zabawką, zostaliśmy.

Willa należała do głównego organizatora imprezy – Marka Kuchcińskiego. Następnego dnia mogliśmy zobaczyć duży, zarośnięty ogród ze starymi kamiennymi rzeźbami prześwitującymi ponad długą trawą. Byliśmy częścią grupy pochodzącej z różnych środowisk, ale wszyscy w jakiś sposób związani z ruchem opozycyjnym. Spaliśmy na matach na podłodze, na strychu. Byłam tam chyba jedyną artystką.

Miasto Przemysł w socjalistycznej Polsce leżało kilka kilometrów od granicy z Ukrainą. Miało długą i bogatą historię, ale kiedy przyjechałam tam w 1988 roku, duża część miasta była już rozpadająca się i szara, z niewielką ilością życia na świeżym powietrzu.

Byłam pod wrażeniem aranżacji dzieł sztuki w podziemiach kościoła, chociaż początkowo zaskoczył mnie brak materiałów do wieszania. Jednak miedziany drut został ostrożnie usunięty z plastikowego kabla, a nieliczne narzędzia były przekazywane z rąk do rąk.

W grupie na poddaszu panowała koleżeńskość, jednak Joachim, mój partner, był rozczarowany, że nie można było napić się piwa, ponieważ w tym kraju produkowano rzeczywiście dobre piwo. Jeden z członków grupy pracował na Uniwersytecie Warszawskim, dr Ryszard Żółtaniecki. Pewnego wieczoru zaproponował, żebyśmy poszli z nim do restauracji, gdzie, jak sądził, może być piwo. Świetny pomysł, więc wysadziliśmy go na rynku i czekaliśmy chwilę w samochodzie. Czekaliśmy, a on nie wraca! W końcu zapytaliśmy o niego w restauracji, gdzie powiedzieli, że nigdy go tam nie było! Okazało się, że został zgarnięty przez milicję i zatrzymany na przesłuchania w sprawie grupy. Wrócił dość roztrzęsiony. Wstrząśnięta doświadczeniem Ryszarda, po raz pierwszy w życiu zdałam sobie sprawę, jak bardzo bezbronnym i bezradnym można być w kraju bloku wschodniego; brytyjski paszport nie dawał żadnej ochrony, jeśli było się w rękach polskiej bezpieki.

Pewnego dnia zostałam zaproszona do odwiedzenia miejsca, gdzie drukowano podziemną gazetę Solidarności. Kiedy jednak zauważono jadący za nami samochód z kilkoma dużymi mężczyznami, zrezygnowałam z wycieczki.

Po Przemysłu oprowadził nas angielski lektor, który wyjaśnił nam bogatą i zróżnicowaną historię miasta. Było to szczególnie interesujące dla mnie jako Szkotki, ponieważ wielu Polaków, którzy przyjechali do Szkocji walczyć podczas II wojny światowej, już tam zostało. Nadal jest tam spora polska społeczność. Ponieważ była to duża wystawa zbiorowa, nie przywiązywałam tak dużej wagi do wczesnego przybycia na wernisaż, ale dotarłam do kościoła na czas. Tłumacz czekał przy drzwiach, wzburzony. Archiprezbiter czeka – powiedział, ciągnąc mnie w dół długą nawą do samego frontu kościoła. Budynek w środku był przytłaczająco ozdobny, pięknie pokryty misternymi freskami, złotymi liśćmi, oszałamiająca wspaniałość w porównaniu z rozpadającymi się szarymi budynkami i ulicami otaczającymi kościół. Byłam zdumiona, gdy zobaczyłam, że kościół był pełny, każda ławka i każde miejsce było zajęte. Było to oczywiście bardzo ważne wydarzenie dla mieszkańców miasta. Kapłan stał z przodu z mikrofonem, a obok niego ludzie z kamerami, gotowi do nagrywania. Wręczono mi nagrodę, a potem z Joachimem zostaliśmy zaproszeni do opactwa na obrzeżach miasta na pyszny polski obiad serwowany przez zakonnice, które przygotowywały posiłki głównie z uprawianych przez siebie produktów. W tamtych czasach w sklepach były ciągłe braki żywności, mały wybór i długie kolejki. Życie było bardzo ciężkie.





Czułam się zaszczycona, że mogłam wziąć udział w wystawie w Przemyślu, poznać ludzi zaangażowanych i ich doświadczenia z pierwszej ręki. To było jedno z najważniejszych wydarzeń artystycznych w moim życiu.

Po namyśle wydaje mi się, że wystawa w kościele franciszkanów była elementem pokojowego sprzeciwu, zorganizowanego przez ruch społeczno-polityczny, który dążył do szeroko zakrojonych reform gospodarczych i demokratycznych. Częściowo dzięki tej solidarności upadł Związek Radziecki, a efekt domina, który nastąpił, ostatecznie zmienił światową politykę.

POSTSCRIPTUM

Dwa lata później wróciliśmy z Joachimem do Przemyśla, aby odebrać moje obrazy. Było lato i postkomunizm, Przemyśl był zupełnie innym miejscem. Było życie na ulicach, ruchliwe kawiarnie, jakby w mieście zapaliły się światła. Dowiedzieliśmy się, że grupa, która zorganizowała wystawę, rozpadła się, by realizować własne polityczne interesy.

Kiedy tam byliśmy, znowu się zeszła i obejrzelśmy w kościele film nakręcony podczas wystawy. Czuliśmy wielkie podniecenie, gdy jeden z członków grupy, pokazany na filmie, został zdemaskowany jako szpieg! Spotkanie to zbliżyło wszystkich do siebie; był to niezapomniany wieczór.

Dziesięć lat później, w styczniu 1998 roku niespodziewanie spotkaliśmy Ryszarda. Było to na otwarciu wystawy w Międzynarodowym Centrum Kultury w Krakowie, gdzie miałam mieć indywidualną wystawę moich obrazów i rzeźb. Wyglądał inaczej, imponująco, w eleganckim garniturze. Powiedział nam, że kiedy Polska stała się demokratyczna w 1989 roku, pełnił funkcję p.o. ministra spraw zagranicznych. Potem został ambasadorem Polski w Grecji i na Cyprze. To było ciekawe spotkać się z nim ponownie, powspominać i porozmawiać o zmianach, jakie zaszły w kraju.

Jest to czysto osobista relacja dotycząca konkretnego wydarzenia z 1988 roku w ówczesnym socjalistycznym państwie polskim. Moje obserwacje zostały ukształtowane przez moje pochodzenie jako artystki z cichego zachodniego wybrzeża Szkocji, mieszkającej w zachodniej części podzielonego wówczas Berlina.

W październiku 1988 roku gościem strychu oraz wystawy „Człowiek – Bóg – Świat” był Edward Robinson – oxfordczyk, który zajmował się dwoma z pozoru niezwiązanymi ze sobą obszarami doświadczenia ludzkiego: światem religii, tematykę czerpiąc z Ewangelii, i światem współczesnych sztuk pięknych. Ze strychowiczami dzielił się refleksją na temat wyobraźni, tajemnicy, duchowości i tradycji. Do Przemysła wrócił w następnym roku, ofiarując się za wikt i opierunek, by rzeźbić tryptyki ołtarzowe dla kościoła w Tarnawcach.



MAREK KUCHCIŃSKI:

Spotkania z Edwardem Robinsonem odcisnęły szczególne piętno na naszych dyskusjach. Nazywałem go rzeźbiarzem metafizycznym. Do więzi i różnic religii ze sztuką Edward dociera jak gdyby z obu stron jednocześnie: od strony artysty, który za pomocą swoich zmysłów, rąk i narzędzi oraz materiału obrabianego tworzy dzieło, i od strony duchowej. Łączy je wyobraźnia, ze swej natury twórcza, umożliwiająca odczuwanie mocy, której źródła owiane są tajemnicą, i której (przez swą zdolność duchową otwierania się na nią) ludzie mogą dostąpić. Metafizykę i sztukę łączy także pasja, dzięki której artyści w akcie twórczym pokazują świat w inny sposób. Łączy je również tematyka, możliwie najwyższa, najgłębsza, eliminująca namiętności błahe, a umożliwiająca, jak pisał John Ruskin, przebywanie w najwyższych krainach myśli, do których ludzkość jest zdolna. Są to sfery przeżyć często niewyraźnych, ale w których nie trzeba przekonywać, co jest dobre i prawdziwe, bo ze swej natury muszą takimi być, by emanowały swym pięknem.



PASJA

EDWARD ROBINSON:

Miejscem styku metafizyki i sztuki, albo też tym, co mają wspólnego, jest pasja. Kiedy spytamy artystę, dlaczego namalował obraz, odpowie: do diabła, po prostu namalowałem. Jest to przymus, który zmusza poetę np. do napisania wiersza. Jest interesujące, że kiedy rozmawiamy z artystami, będą w kółko powtarzali, że nie wiedzą, dlaczego tak, a nie inaczej to czy tamto zrobili. Na przykład Paul Klee często po wykonaniu jakiegoś dzieła nie wiedział, jak je zatytułować. Prosił wówczas przyjaciół o nadanie nazwy. Jest to jedno z najwspanialszych przeżyć dla artysty.

Według Robinsona nowość jest często wyzwaniem dla ludzi. Oni nie lubią patrzeć na świat inaczej. Dobrym przykładem jest paryska wystawa impresjonistów, których obrazy jawiły się współczesnym odbiorcom jako coś obrzydliwego. Dziś te same obrazy uznawane są za niezwykle piękne, a ich wartość oscyluje wokół milionów dolarów.

Jeśli świat wymaga równowagi, to wszechobecne na strychu obrazy i grafiki były niemyym równoważnikiem dla głośnych dyskusji. Jedną z autorek była pochodząca z Oxfordu Helen Ganly – artystka multidyscyplinarna. Zajmowała się malarstwem, grafiką, instalacją, kostiumami i scenografią, pisaniem i ilustrowaniem książek dla dzieci oraz kolekcjami publicznymi i prywatnymi. Członek założyciel Oxford Printmakers i ARTWEEK, Oxford's Visual Arts Festival. Wykładała w Ruskin School of Drawing (Uniwersytet Oksfordzki) Oxford Brookes University (Dept of Education) oraz w szkołach, domach kultury, szpitalach psychiatrycznych i więzieniach. Środowisko strychu z pewnością było dla niej socjologicznym poligonem doświadczalnym.

OBRAZ

Śmiało można zaryzykować tezę, że Strych niesłusznie kojarzony jest tylko z tekstem, słowem, polityką. Sztuka wizualna rozlewała się po przemyskim domu w sposób często zaskakujący. Głęboko religijne dyskusje odbywały się w towarzystwie dzieł ludzi kojarzonych kiedyś bardziej z alchemią i eksplorowaniem surrealistycznej drogi poznania wiary. Dziś już trudno spamiętać, czy Henryk Waniek przywiózł ze sobą na Strych Nowe Bezpretensjonalne Pismo Święte w Obrazkach. To był rodzaj teczki, paczki z pracami plastycznymi.

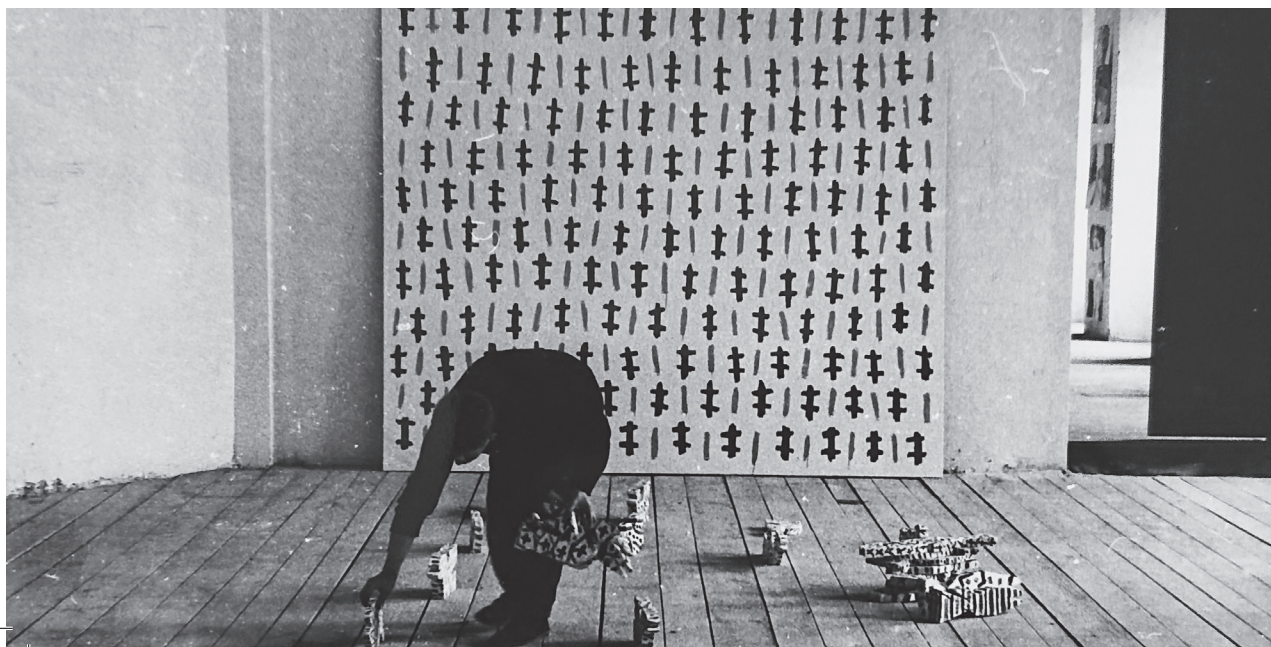
MAREK KUCHCIŃSKI:

Henryk Waniek był jakby zmartwiony ograniczającą go świadomością, że „choćby się tego wypierał, zapierał, tłumaczył”, to zawsze nazywany będzie malarzem, podczas gdy nie jest zwolennikiem czystości środków artystycznych. I on może poruszać się w sferach nie tylko z pogranicza owych dyscyplin sztuki, ale także w tych, które nazywamy mistycznymi (ogromnie ceni pejzaże mistyczne Friedricha): „Zawsze wydawało mi się, że jest konieczny jakiś desygnat naturalnej scenerii świata, abyśmy wobec obrazu jakoś mogli poczuć swoją obecność w tak zwanej przestrzeni tajemnicy”.

STANISŁAW KOBA:

Moje prace nie były ilustracją jakichś konkretnych tekstów, to były przerywniki. W tamtym czasie był to ciąg prac: człowiek-zwierzę-natura. Twardość, agresywność kreski/lini jest podstawowym środkiem wyrazu.

4 lipca 1989 roku miała się odbyć wystawa obrazów Koby, którą mimo że było już po wyborach, zablokowały władze państwowe (cenzura).



POEZJA

Koba jest artystą nieprzewidywalnym. Trudnym do wtłoczenia w ramy. A więc doskonale wpisującym się w cały ferment kulturalny przemyskiej bohemy. Trzeba sobie bowiem jasno powiedzieć, że środowisko strychu było rodzajem cyganerii, tyle że ich chęć odcięcia się od konwenansów, norm społecznych i materializmu miała wroga w ustroju. To realizm socjalistycznego kraju poukładanego na potrzeby władzy mierzył i jednoczył najbardziej nawet skrajne ruchy artystyczne. Mirosław Kocoł, Marek Kuchciński i Jan Musiał, bo taki był skład redakcji pierwszego wydania „Strychu Kulturalnego”, poruszali się w transcendującej rzeczywistości domu, który był dla nich schronieniem.

Poezja, która się przez ich ręce przewijała i jaka gościła podczas spotkań, w większości była ponura. Nawet wówczas, gdy była odbiciem codziennego życia, musiało ono posiadać wątki trupie, smutne...

Freud ponoć powiedział swojemu uczniowi: „Albo będziesz tworzył piękną poezję, albo wyleczysz depresję”. Coś w tym jest. Z depresją ponoć pisze się pięknie. Cierpią zazwyczaj wrażliwcy, którzy widzą i czują więcej, którzy nadmiar emocji muszą okiełznać, nazwać, ulepić z nich formę. Taki rodzaj terapii...

Czas strychowych spotkań siłą rzeczy wymuszał rozmowy o poetach podejmujących wątki polityczne.

Kurylak w sporze z Krzysztofem Sawickim zaangażowanej poezji Herberta Józef przeciwstawiał czystą, wizjonerską, w pewnym sensie nadrealną poezję Grochowiaka. A robił to z taką zaciętością, że mało nie doszło do rękoczynów.

Poezja Józefa Kurylaka nie była politycznie zaangażowana. Była po prostu metafizyczna. Zbiór wierszy zamieszczonych w „Strychu” z 1989 roku otwiera „Duch”, który ujawnia siłę determinacji nowego ducha świata.

Jest on wieczny i nieśmiertelny, zawsze nowy, silniejszy. Wchodzi on jednak w konflikt z naturą, której formy się rozpadają.

W prologu przytoczono myśl Fausta: „chwilo trwaj!”. Ona niestety nigdy nie trwa. I to są te sławne idee, które zwodziły poetę w młodości: nowy duch i rdzewiejące mosty. Nie ma w tym harmonii. Inny wiersz, „Polana”, mówi o kłamliwych pergaminach nowej epoki, której nie rozjaśnia Tomasz z Akwinu. Rozważa dwa widzenia świata: zewnętrzne i wewnętrzne. Te widzenia się nie pokrywają, tzn. w naturze nie ma Boga (widzenie zewnętrzne) i wizja Boga transcendentnego (widzenie wewnętrzne). Dlatego też człowiek skazany jest na tę sprzeczność, a zatem żyje w rozpacz.

JÓZEF KURYLAK:

Podczas prelekcji nt. erotyzmu u Leśmiana Andrzej Gronczewski zachwyił się przyrodą Polski Południowej, porównując ją do krainy Leśmiana, do Leśmianowskich ogrodów. Wokół domu rosły wówczas zioła i maliny... Profesor powiedział mi wtedy, że niczym Leśmianowski Topielec utonął w zieleni.

ANDRZEJ MAZUR:

Poezja była niezwykle honorowana, i na spotkaniach strychowych, i w „Strychu Kulturalnym”, i na późniejszych wykładach. Oprócz wybitnych i znanych krytyków i eselistów, jak Piotr Kłoczowski, Krzysztof Dybciak, Tomasz Jastrun, Ludmiła Mariańska, Iwona Smolka, Krzysztof Karasek warto podać statystykę siedmiu numerów „Strychu”. Dział poetycki miał łącznie 117 stron, opublikowano 78 wierszy w starannej oprawie graficznej, a 13 poetów stanowili: Józef Baran, Józef Kurylak, Marek Pękała, Adam Ziemianin, Mariusz Olbromski, ks. Jan Kalinka, Andrzej Mazur, Kazimierz Biculewicz, tłumacz literatury tureckiej Antoni Sarka i poeci z Turcji: Necip Fazıl Kısakurek, Yahya Kemal Beyatlı, Orhan Veli Kanık, Fazıl Husnu Dağlarca, Bulent Ecevit.

MAREK KUCHCIŃSKI:

Organizacyjną metamorfozę na przestrzeni lat najlepiej widać w specyficznym pączkowaniu: od Dni Kultury Chrześcijańskiej, przez wystawy (festiwale) „Człowiek-Bóg-Świat”, pierwsze spotkania stricte strychowe, komitet obywatelski (po części), Przemyskie Towarzystwo Kulturalne (sądownie zarejestrowane po upadku PRL), „Spojrzenia Przemyskie” do Strychu. Trzon organizacyjny pozostał ten sam: Kurylak, Niezgodowa, Zazula, Musiał, Jarosz, Grzesiak, (Sawicki, Niemkiewicz)... była grupa ludzi, których kontakty sprawiły przyjazdy do nas późniejszego premiera, ministrów, światowej sławy uczonych, posłów, polityków, publicystów, dziennikarzy, skazywanych onegdaj na karę śmierci za głoszone poglądy. I bywa, że czasem trzeba tę najwyższą cenę zapłacić, by pozostać sobą...

JADWIGA SAWICKA:

Pojawiła się idea, by robić wystawy. Franciszkanie udostępniali podziemia XVIII-wiecznego kościoła. Ciemno, zimno, wilgotno. Wnętrze przytłaczające, przywodzące na myśl katakumby, nocne modlitwy, umartwianie się, wymuszające powagę. Wystawy zyskiwały wsparcie finansowe, artyści dostawali nagrody. Wywożono na przyczepce pomidory do Warszawy i tą samą przyczepką wracały pomidory na wystawę. Miejsce sprawiało, że chciało się zobaczyć wystawę inną niż wszystkie. Taką, która byłaby w stanie nawiązać dialog z miejscem. Niektóre z prac zajmowały się stosunkiem człowiek – Bóg, inne człowiek – świat, jeszcze inne mówiły o człowieku, jego samotności, wyobcowaniu, rozdarciu. Niektóre nie próbowały niczego powiedzieć, po prostu były. Jak, kamień, drzewo, krzesło.

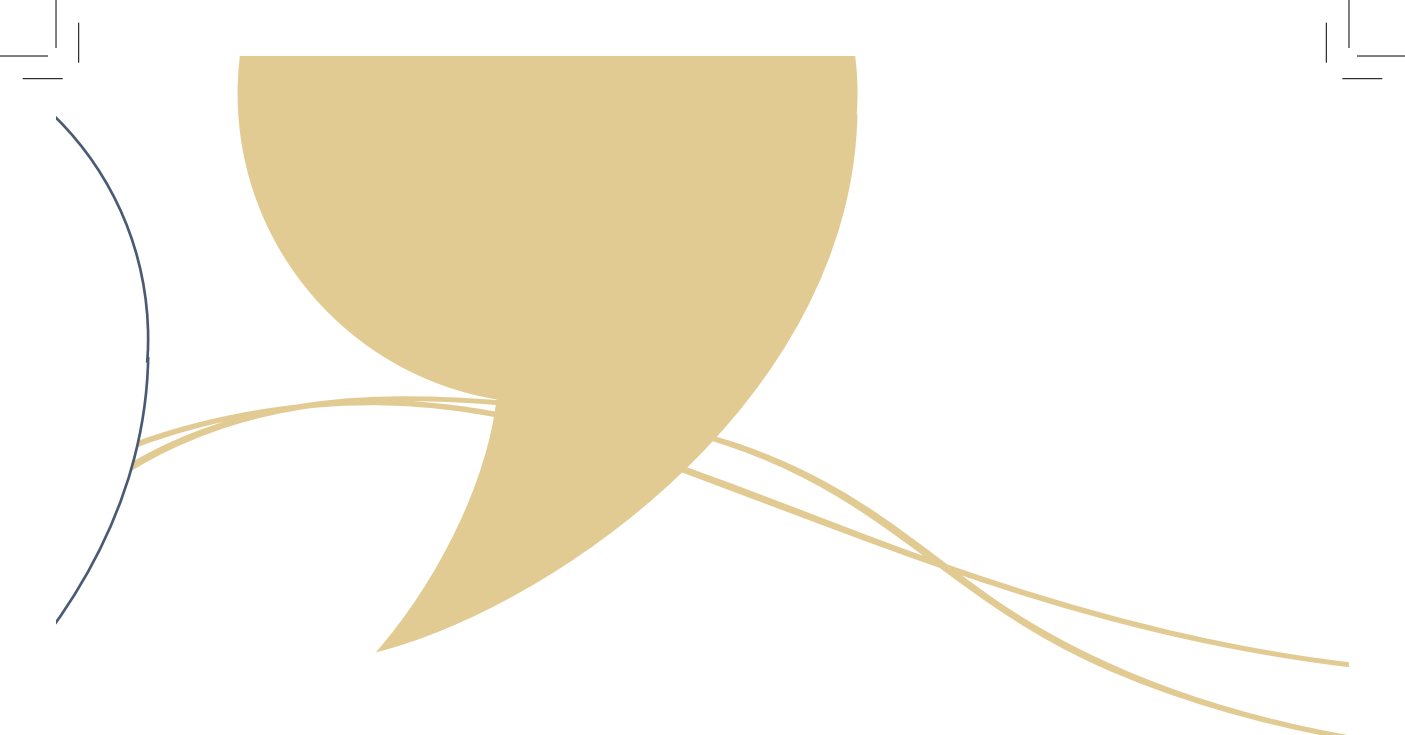


MAREK KUCHCIŃSKI:

Prawie wszystkie występy odbywały się w scenerii niezależnych wystaw plastycznych i bezdebitowych wydawnictw we wspomnianych już podziemiach franciszkańskich, miejscu, gdzie w latach osiemdziesiątych cenzura nie miała wstępu. Tysiące ludzi słuchały mówców, oglądały filmy i spektakle, umacniając się w przekonaniu, że sztuka może wspierać umiłowanie wolności.

W latach 1988 i 1989 wystawy „Człowiek–Bóg–Świat” nazwaliśmy już nie diecezjalnymi czy krajowymi, ale po prostu wystawami sztuki, bo brali w nich udział twórcy z wielu stron świata: z USA, z Południowej Afryki, z Francji, Berlina, Australii, Słowacji (wówczas Czechosłowacji). Były konkursy i nagrody finansowe fundowane przez Komitet Kultury Niezależnej, w którego imieniu przyjeżdżali m.in. Magda Hniedziewicz, Maciej Gutowski, Janusz Eysymont. Te wystawy i spotkania strychowe miały bardzo ważne znaczenie, bo były miejscem, gdzie kontakt ze sztuką i twórcami odbywał się bez cenzury. To było wrażenie jakby prywatnych spotkań, na których omawiano sprawy powszechnie ważne.

Niektórzy zarzucali nam przygotowywanie imprez „po amerykańsku” (minimaliści!) lub twierdzili, że uprawiamy jedynie politykę (socjałowie!). Jednakże zasada biskupa Tokarczuka *primum non nocere* kapitalnie uciszała niechętnych.



Publiczność nie tylko szczelnie wypełniała kościoły, ale również wielką ciszą i skupieniem potęgowała atmosferę dramatu, nawet przed rozpoczęciem spotkań, kiedy organizatorzy jeszcze „zawieszeni” na kilkumetrowych drabinach rozpinali pod sklepieniami plansze lub ekrany. Oto klasyczna już dziś scena: stojący na szczycie takiej strasznie długiej drabiny chwiejącej się na wszystkie strony Janusz Czarski podtrzymywany jest przez Marka Zazulę (który za dwie godziny ma mieć swój recital) i Jurka Bonarka, słynnego stukilogramowego „Kanarka” i ksiądz Klisko odmawiający z ludźmi szczelnie wypełniającymi kościół ojców franciszkanów „zdrowaśki”. Zastanawiałem się wówczas, na ile tę ciszę i skupienie na modlitwie wzmacnia oczekiwanie z zapartym tchem łoskotu padającej drabiny. A tak naprawdę, to wielkie pragnienie nieznanego wolności wyrażało się w tej koncentracji, skupieniu i modlitwie. Ta ówczesna cisza była symbolem rzeczywistości wojskowej dyktatury PRL. Bo nikt nie wiedział, kiedy tajna komunistyczna policja zareaguje, kiedy przyjdą aresztować. Nikt nie znał granicy, poza którą wyrażanie ludzkiej twórczości umysłowej i artystycznej uznane będzie przez dyktatorów za mieszanie się do polityki. Bo poza kościołami nie było bezpiecznie nawet we własnych domach. Bo poza światem religii i wiary właściwie nie było wolności. A trzeba było jeszcze utrzymywać kontakty z krajem, jeździć na tajne spotkania na Żytnią do Warszawy, korzystać dyskretnie z pomocy Komitetu Kultury Niezależnej, współpracować z innymi ośrodkami ówczesnego podziemia politycznego. Wówczas odwaga była w cenie, a tę podbijała niewielka liczba ludzi chętnych do pracy, ludzi o mocnym charakterze i twardej wewnętrznej konstrukcji.

Podziemia Kościoła OO.Fr
20 września - 20 październik



CZŁOWIEK -
pokonkursowa wystawa pra

ranciszkanów w Przemyśle
ika 1986 godz. 12.00 - 17.00



BÓG - ŚWIAT
rac plastyków przemyskich

Dzięki nietuzinkowym gościom i bywalcom strychu wieść o aktywności kulturalnej i opozycyjnej w Przemyślu niosła się poza granice kraju. Przemyśl jest miastem głównie katolickim, o dużej liczbie kościołów i z nim związanych środowisk. Silny związek środowiska strychu z Kościołem stanął jednak na przeszkodzie druku w „Kulturze” Giedroycia.

KRZYSZTOF DYBCIAK:

W końcu lat 80. spotkałem się w Neapolu z Herlingiem-Grudzińskim, który zainteresował się aktywnością polityczną i zwłaszcza kulturalną w Przemyślu i okolicach. Zachęcił do napisania krótkiego tekstu informującego o tych mało znanych sprawach. Kiedy więc wiosną 1989 roku ukazał się drugi numer „Strychu”, uznałem to za dobrą okazję do poinformowania czytelników paryskiej „Kultury” o działalności przemyskiego środowiska opozycyjnego. Kilkustronicowy tekst przesłałem do redakcji „Kultury” (nie pamiętam, jaką drogą, ale wtedy nie było to trudne). Jednakże moje sprawozdanie nie ukazywało się mimo upływu paru miesięcy, więc zwracałem się do Jerzego Giedroycia z ponagleniami, a potem z prośbą o wyjaśnienie braku publikacji. Chyba nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, a Herling powiadomił mnie o niechęci Giedroycia do drukowania tego artykułiku.

Wyjaśnienie negatywnego stanowiska kierownika Instytutu Literackiego było polityczne i trochę towarzyskie. Wtedy przy końcu PRL-u – podobnie jak w środowiskach opozycyjnych w kraju – toczyły się rozgrywki o uzyskanie przewagi w życiu politycznym. Dotyczyło to również spraw kultury. W swoim tekście napisałem zgodnie z prawdą o zdecydowanie niepodległościowej oraz katolicko-konserwatywnej orientacji redaktorów i twórczego środowiska Przemyśla (autorami „SK” byli Legutko i Scruton), a także o pozytywnej roli wspaniałego arcybiskupa Tokarczuka. To nie podołało się nastawionemu laicko oraz przychylnemu marksistowskim rewizjonistom i reformatorom Giedroyciowi, a jeszcze bardziej ludziom z jego ówczesnego otoczenia – mającym poglądy liberalne lub lewicowe, a nawet komunistyczną przeszłość jak Krzysztof Pomian, mający wtedy ogromny wpływ na redaktora (m.in. współautor „Autobiografii na cztery ręce”). Na początku lat 90. głównymi informatorami o sprawach krajowych na łamach „Kultury” stali się ludzie nienawidzący prawicy i prawowiernych katolików w rodzaju Tomasza Jastruna czy Leszka Szarugi (Aleksander Wirpsza). Takie są przyczyny niewydrukowania tekstu życziwego dla „Strychu Kulturalnego” i kulturalnego dorobku opozycji w Przemyślu.

Historia ta przypomina opisywaną przez Helen Ganly, gdy podczas II wojny światowej w Anglii powstał komitet zamawiający u malarzy obrazy nt. różnych aspektów wojny. Londyński dealer zwrócił się do komisji z prośbą o dzieła Stanleya Spencera, gdyż ten był bez środków do życia. Miał zamiar namalować duży obraz na temat ukrzyżowania. Obraz upamiętniający najazd na Polskę. Komisja odrzuciła ten projekt.

Latem 1995 roku na zaproszenie Marka Kuchcińskiego wraz z żoną Mojrą z Amnesty International przyjechał profesor Jarosław Piekalkiewicz ze Stanowego Uniwersytetu Kansas, posiadający tytułarną godność Odznaczonego Wykładowcy Cywilizacji Zachodniej (od Gilgamesza do przyszłości). Zanim wygłosił wykład w Przemyskim Towarzystwie Kulturalnym, na nieszczęście zatrul się, jedząc posiłek na Dworcu Centralnym w Warszawie i musiał być hospitalizowany w szpitalu miejskim w Przemyśle na ulicy Rogozińskiego. Zmiany, jakie nastąpiły po okrągłym stole, nakreślił następująco:

JAROSŁAW PIEKAŁKIEWICZ:

Będąc w Przemyśle, rozmawialiśmy na starym strychu, swobodnie ubrani przy świecach, bo światło było przyćmione, delikatnie stawiałem kroki, ponieważ myślałem, że ten strych się zawali... I gdy wyjeżdżaliśmy z Warszawy, spytałem żony: może wezmą marynarkę. A ona na to: marynarkę do Przemyśla? Na strych? Czyś Ty zwariował? Ale na wszelki wypadek wziąłem i bardzo się cieszę, bo Państwu może nie przeszkadzałoby to, ale w telewizji jest taki zwyczaj...

W piątym numerze Strychu prof. Piekalkiewicz pyta o powód, dla którego tak niewiele zostało z wielkiego kapitału Solidarności. W odpowiedzi posługuje się przykładem sprawy Kiszczaka, której przyglądał się osobiście, gdy jako świadek wystąpił Michnik. Tenże Michnik wszedł na salę, podszedł do Kiszczaka i uścisnął mu rękę. Uścisnął rękę człowiekowi, który całe swoje życie spędził w Informacji Wojskowej, wobec której ubecy to byli aniołowie. Ludzie z IW zabijali dla przyjemności. Tym gestem według Piekalkiewicza zostało przekreślone to, co się działo w Polsce. Michnik wybaczył Kiszczakowi i widział w nim politycznego partnera. Według Piekalkiewicza wpływ na to mógł mieć po pierwsze Kościół, głoszący chrześcijańskie przebaczenie, po drugie w przywództwie Solidarności było trochę synów i córek komunistów i ubeków (bunt wobec rodziców, ale niechęć do oskarżania własnego ojca), po trzecie pewna grupa opozycji była infiltrowana przez UB i SB, a niektórzy byli agentami służb od początku. W Polsce nie zrobiono dekomunizacji. Nie zmieniono prawa, nie wykazano odpowiedzialności komunistów za ruinę gospodarczą kraju i wybudowanie niegospodarki niemającej nic wspólnego ze skarbami naturalnymi Polski.

ANDRZEJ MAZUR:

Dokumentacja ze spotkań w PTK: artykuły, wywiady, glossy w „Strychu Kulturalnym” i innych mediach są nadal aktualne. Są nadal świeże, można się na nich oprzeć w analizach dnia dzisiejszego. I tak czytając rozmowę z prof. Piekalkiewiczem opublikowaną w tym samym numerze „Strychu”, a datowaną na lipiec 1995 pod tytułem „Polityka ideokracji” – od razu analizuję jej tekst i przeprowadzam porównania z „Drugą szansą” Zbigniewa Brzezińskiego [2008] czy „Europejskim marzeniem” Jeremy’ego Riffkina [2005]. Podobnie jest z niebanalnymi rozważaniami i o dużym ładunku intelektualnym R.A.D. Granta „Polityka śmierci”, które wiodą mnie do rozważań o nieistniejących już greckich klasycznych szkołach myśli i ich współczesnych kontynuacjach.

Otóż czytając Piekalkiewicza, można nadal uczyć się metody myślowego opanowania rzeczywistości i jej częściowych analiz. W przypadku Jarka jest to profesorski wykład na temat definicji demokracji. Wykład podstawowy i zmierzający prosto do celu. Według Piekalkiewicza demokracja jest porzuceniem zamiaru zbudowania idealnego społeczeństwa. Gdybym prowadził seminarium politologiczne nt. demokracji, wywiad z Piekalkiewiczem byłby wyjściowy i byłaby to lektura warunkująca uczestnictwo w tych zajęciach. A jako „re” czy „ad vocem” uczestnicy musieliby poczytać „Ideologia Americana” profesora Tomasza Żyro, Carla Beckera „Państwo Boże osiemnastowiecznych filozofów” czy wspomniane już pozycje Brzezińskiego i Riffkina.

Piekalkiewicz jest bardzo ważny dla filozofii polityki, gdyż dokładnie przebadał systemy ideokratyczne i ich wpływ na świat. Dlatego jego definicje posiadają wagę edukacyjną i filozoficzną – na przykład określenie demokracji jako uniemożliwiającej tworzenie utopii. Podkreślanie wagi ustawy zasadniczej, konstytucji, umowy społecznej, mówiąc językiem francuskiego oświecenia dla sprawnego funkcjonowania społeczeństwa i uświadomienia praw obywatelskich. Czy rzadkie w tamtych czasach w Polsce z lat 1995-1996 źródłowe odnośnienie zasady trójpodziału władz do rzymskiego filozofa i prawnika Polibiusa. Pokazywanie źródeł myśli, bibliografii, dawanie wskazówek. Jak na seminarium uniwersyteckim w najlepszym światowym wydaniu.

Kim więc byli ci młodzi brodaci, przypominający wyznawców Sartre'a? Bywalcy Strychu i ich przyjaciele, z których niewielu właściwie tworzyło ścisłą czołówkę komitetu obywatelskiego, ale jako grupa byli motorem całej lokalnej kampanii wyborczej. Bo to oni w zakonspirowanej drukarni (także na strychu!) powielali nocami ulotki wyborcze. Jeden rodzaj tych ulotek („Jak kreślić przeciwnika”) odbili w dwie noce blisko w trzystu tysiącach egzemplarzy! Dla każdego dorosłego mieszkańca województwa. To oni redagowali „Biuletyn Wyborczy”, dbali o reklamę i całą propagandę.

MAREK KUCHCIŃSKI:

Patrząc z perspektywy lat na teksty „Strychu”, widzę, że działalność taka jest bezcenna. I wnosi nową jakość do rozumienia polityki jako dziedziny kultury.

Należy zwrócić uwagę na umiejętność wyciągania wniosków i ich obiektywizację poprzez tworzenie instytucji, jak spotkania strychowe w okresie stanu wojennego, przez które przewinęło się mnóstwo osób, czasopisma pookrągłostołowe „Spojrzenia Przemyskie”, „Strych Kulturalny”, Przemyskie Towarzystwo Kulturalne. Doświadczenie wykazuje, że jeśli uda się wytworzyć instytucję kulturową, której celem i efektem jest dialog i przedyskutowanie kwestii politycznych – rozwój musi nastąpić.



WIĘŻ

Pismo było więc czymś więcej niż literaturą. Było symbolem i pewnym manifestem miejsca, w którym się narodziło. Dla jego założycieli było także świadectwem tego, co nieuchwytnie. Między innymi dlatego tak ważne jest zrozumienie kontekstu czasu, celu, pasji. Gdybyśmy wzięli do ręki same tylko pozółkle dziś strony pisma, uznalibyśmy zapewne, że było świadectwem intelektualnym. Tyle że aby być w zgodzie z prawdą, trzeba mieć także w głowie obraz ludzi poruszających się na skrajnych biegunach: sztuki, polityki, wykształcenia, stanu posiadania. Jeśli przyjmujemy tę perspektywę, strony „Strychu” stają się także metafizycznym spoiwem.

MAREK KUCHCIŃSKI:

Dziś sam się dziwię, że ludzie o tak różnych poglądach na świat mogli przetrwać bez dąsów. Być może są to właśnie skutki owych dyskusji intelektualnych prowadzonych w gronie przede wszystkim praktyków. Może w tym fantazjowaniu kryje się tajemnica utopijnej jedności? Do której kiedy próbujemy docierać, badając rzeczywistość metodami racjonalnymi i zaspokajającymi potrzeby życiowe, otwierają się różne pęknięcia, podziały, które wpadając w nie, sami rozszerzamy? To wydaje się być odpowiedź na pytanie, dlaczego ludzie strychu nie podzielili się na różne stronnictwa, często rywalizujące ze sobą.

JANUSZ CZARSKI:

Strychowiczów łączyła niezwykła więź. Przyjaźń, zrozumienie, zaufanie, wzajemna akceptacja były tak silne, że nikt nikogo o nic nie pytał... Jeśli ktoś nie chciał, nic nie mówił. Ale każdy z nas czuł, wiedział, że może na drugiego liczyć. I to w tych naszych spotkaniach było najpiękniejsze.

ANDRZEJ MAZUR:

Mój największy podziw wzbudzała hodowla nutrii. Marek hodował stado nutrii, pięknych zwierząt. Willa – jeśli idzie o ogólny wygląd – była kolorowa, ściany pomalowane na biało, okiennice granatowe, w środku obrazy, biblioteka. A na zewnątrz sumaki indonezyjskie i nutrie. Nutrie w ogrodzie pełnym drzew. Było to niezwykle: rozmowy o sztuce, inteligentnie rozważana, grządki pomidorów, drzewa i nutrie.

Uwielbiam te zwierzęta: mają duże żółte zęby, zachodzące na czerwone i wyglądają jak wytrawny wieloletni palacz papierosów, lub cięższych cygar. Są ciekawe ludzi,

możliwe, że można byłoby z nimi porozmawiać, po kilku głębszych wódkach. Niemniej nie przypominam sobie, żeby jakaś wielka popijawa była połączona z wypadem do basenów do nutrii na filozoficzne rozmowy.

Gdyby Marek chciał zrobić sobie już na emeryturze jakieś logo, proponowałbym obrazek nutrii. Sympatyczne zwierzęta, sympatyczni ludzie, przyjaźnie na całe życie. Uwielbiam fenomeny tego świata, one mówią o nas więcej niż nam się zdaje. Pomidory, ludzie, rzeźbiarze, piłkarze, opozycjoniści, antykomuniści, Brytyjczycy, stażyści Grotowskiego, cała ta wspaniała gromada prawdziwego życia w komunie, byłaby jakoś dla mnie martwa, gdyby nie te obrazy wspaniałych pięknych nutrii: z szarą szorstką sierścią, z żółtymi zębami Humphreya Bogarta, prawie aktorzy w tym świecie pełnym zdziwień, w którym żyjemy.



JANUSZ J. CYWICKI:

Kto tam bywał, ten wie, o czym mowa. Kiedy to było? gdzie, u kogo i z kim? a nawet dlaczego to miało miejsce właśnie tam, na tej ulicy i w tym niewielkim, wolno stojącym domu, na obrzeżach miasta, cofniętym w głąb ogrodu i jakby trochę ukrytym. Od ulicy oddzielał go szpaler krzaków, które tworzyły swego rodzaju azyl, bufor tworzący wyciszenie, sprzyjający oddzieleniu od zgiełku codziennego życia i tak naprawdę pozwalający na trochę inny dystans do otaczającej nas wtedy smutnej rzeczywistości szarych dni PRL-u lat 80.

W tamtych czasach często spotykaliśmy się przede wszystkim w prywatnych domach, pracowniach plastycznych czy wernisażach organizowanych w Biurze Wystaw Artystycznych, Muzeum Okręgowym czy Galerii Desy.

W pewnym okresie wybór Węgierskiej stał się oczywisty. Przy tym właściciele mieli dla nas wyjątkową cierpliwość, nie dziwili się częstymi, bardzo późnymi niejednokrotnie wizytami w różnym gronie, a na dodatek zawsze mieli czym nas ugościć. Co najważniejsze, dobrze się tam wszyscy czuliśmy, a rozmowy ciągnęły się godzinami.

Dom na Węgierskiej miał jakby dwa oddzielne światy. Parter nie równał się jednak temu, co było powyżej. Po stromych (nie bardzo bezpiecznych, jak się kiedyś okazało) schodach wchodziliśmy jakby trochę do innego świata – tajemniczy strych, który już przy pierwszym spotkaniu urząkał unikalnym klimatem. Strych podobał się każdemu, był świetnie zaprojektowany i wykonany w drewnie. Tworzył przy tym wyjątkową, ciepłą atmosferę, sprzyjającą spotkaniom, słuchaniu muzyki, rozmowom o sztuce i biesiadowaniu, którym to przymiotom oddawaliśmy się z wielką przyjemnością i upodobaniem...

Właściwie to trochę zazdrościliśmy właścicielom tego miejsca i jego atmosfery. Każdy z nas potrzebował czegoś takiego, gdzie można było przede wszystkim w spokoju tworzyć, a do tego spotykać przyjaciół i mile spędzać czas. Niewielu z nas mogło się czymś takim pochwalić. Nie chodzi tutaj o wartości materialne, a raczej o niezależność tego miejsca i spokój tworzący niezbędne warunki do pracy twórczej, która była dla nas podstawową i najważniejszą wartością.

W pamięci utkwiło mi jedno ze spotkań, które zakończyło się niespodziewanie i dramatycznie. Pewnej nocy siedzieliśmy tam w większym gronie. Rozmowa toczyła się wartko, roztrząsaliśmy jakieś istotne problemy, jak zawsze słuchając muzyki. Było gwarno, ale w pewnym momencie, nie pamiętam już kto, siedzący w pobliżu okna zawołał: Czekajcie, chyba coś szumi, słyszycie?! Wszyscy zamilkli... zaczęliśmy uważnie nasłuchiwać. Rzeczywiście, coś na zewnątrz szumiało coraz głośniejsze. Z okien strychu nie było wiele widać. Zbiegliśmy więc na parter i wyszliśmy przed dom. Była wprawdzie głęboka noc, ale nawet w słabym świetle latarki, łatwo było zauważyć szalejącą dookoła żywioł! Dom otoczony był wartko płynącą wielką wodą, porywającą przy tym wszystko na swej drodze. Woda stale przybywała. Kilka metrów od domu stały duże i ciężkie foliowe tunele z warzywami, które teraz po prostu zniknęły... W odległości kilku metrów zaparkowany był mały fiat (chyba żółty) jednego z przyjaciół. Teraz był ledwo widoczny spod wody, która zalała go po sam dach. Sytuacja nie była wesoła. Nie wiedzieliśmy, czy wylał niedaleki San, co byłoby bardzo poważne, czy też woda pojawiła się z jakiegoś innego powodu. Trudno było znaleźć dobrą odpowiedź i sensowne rozwiązanie. Wąska ścieżka prowadząca do pobliskiej ulicy była już całkowicie zalana. Byliśmy jakby na wyspie. Do tego woda stale się podnosiła i nasza sytuacja stawała się prawdziwie dramatyczna. Było wiele pomysłów. Proponowano szybko przenieść meble z parteru na strych i tam doczekać do rana na pomoc. Inni proponowali ryzykowne wyjście przez płynącą wartko wodę do pobliskiej ulicy. Czas mijał i było coraz gorzej... W pewnym momencie ktoś zauważył jednak dalekie światła na drodze. Oznaczało to możliwość ewakuacji, z czego skorzystało kilka osób. Trzymając się za ręce i przechodząc przez sięgającą do ramion wodę, dotarliśmy do furtki i drogi, która okazała się przejezdna. Całkowicie mokry wróciłem nad ranem do domu. Na drugi dzień okazało się, że dużą wodę przyniósł niewielki strumyk przepływający w pobliżu domu na Węgierskiej. Wszystko zakończyło się szczęśliwie, ale straty były jednak spore. Pojawienie się wydawnictwa „Strych Kulturalny” było naturalnym zwieńczeniem tych wszystkich naszych spotkań, które ukształtowały to miejsce i pozostawiły po sobie niezapomniane wartości i wspomnienia, ale to już zupełnie inna historia...

KUL

Dwaj późniejsi demokratyczni dziennikarze na Podkarpaciu – Janek Stepek, naczelny „Nowin” w Rzeszowie i Marek Kuchciński – naczelny „Spojrzeń Przemyskich” i „Strychu Kulturalnego” w Przemyślu zdobywali intelektualne i estetyczne wzory na KUL-u. Były to też wzory cywilizacyjne.

Środowisko studenckie w latach 70. było zbiorem ludzi z parafii, wierzących, hipisów, antykomunistów, ludzi nietuzinkowych, poetów, filozofów, ekscentryków. W sumie 2 tys. studentów i wszyscy się znali. Uczelnia była otwarta, o charakterze światowym, europejskim, a jej świadectwa były honorowane na Zachodzie. KUL był wówczas jedyną wyższą uczelnią katolicką od Łaby po Kamczatkę (czyli w całym bloku państw komunistycznych) i nie było na niej studium wojskowego, nie wykładano filozofii marksistowskiej, a dzięki protestowi studentów w 1973 r. nie założono struktur SZSP. Uczelnia zupełnie inna niż pozostałe: niepartyjna, niekomunistyczna, niesocjalistyczna, niemarksistowska, niezwiązkowa... Pozwalała rozwijać zainteresowania humanistyczne, filozoficzne.

Po wydarzeniach 1968 r. rektor ks. Wincenty Granat przyjął studentów relegowanych z innych uczelni z wilczym biletem, ratując ich przed represjami (wcieleniem do wojska). Na KUL przyjeżdżali również wybitni polscy naukowcy, tworząc kadrę profesorską – ks. Karol Wojtyła, ks. Ignacy Tokarczuk, Barbara Filarska, Tadeusz Zagrodzki, Jacek Woźniakowski, Zdzisław Szpakowski, Tadeusz Chrzanowski, Ewa Bieńkowska – obok znakomitych wykładowców ze środowiska lubelskiego: Stefana Sawickiego, Czesława Zgorzelskiego, ks. Władysława Smolenia, ks. Tadeusza Stycznia, ks. Zbigniewa Gierczyńskiego, Edwarda Zwolskiego... Miał bardzo silną metodologię nauk i logiki – wykladał tam m.in. dr Borkowski, uczeń profesorów lwowsko-warszawskiej szkoły logicznej czy na filozofii profesorowie Andrzej Grzegorzyc i Stanisław Kamiński. O poziomie KUL-u świadczyć może także to, że Tatarkiewicz przekazał uczelni całą swoją bibliotekę. Zresztą na Tatarkiewiczzu opierał się cały podstawowy kurs historii filozofii. W zeszycie 3 „Strychu Kulturalnego” rozprawa księdza profesora Kamińskiego o koncepcjach wartości została omówiona przez Jana Musiała, kolejnego KUL-owca, doktoranta prof. Stefana Sawickiego.





Na KUL-u był dostęp do wydawnictw bezdebitowych, głównie do „Kultury” Giedroycia, „Opinii” Leszka Moczulskiego, lubelskich „Spotkań”, m.in. Janusza Krupskiego. Czytelnia na KUL-u miała ponad 2,5 tys. woluminów, czasopism, tygodników. 1,5 mln książek, podczas gdy UMCS – 100 tys.

Studencką beztróskę co i rusz zakłócały złe wieści, jak te o zajściach w Radomiu i Ursusie, o śmierci ks. Romana Kotlarza i Staszka Pyjasa. W maju 1973 studenci zbuntowali się po raz pierwszy. Likwidowano wówczas Zrzeszenie Studentów Polskich, partia poszła mocno w stronę Sowietów, chciała się wykazać i przymusowo założyć wszędzie prowadzący działalność propagandową Socjalistyczny Związek Studentów Polskich. Dla studentów KUL była to katastrofa, nie można było tego przyjąć. Musiał przyjechać prymas Wyszyński, by gasić rozpalone nastroje.

KRZYSZTOF SAWICKI:

Do Przemyśla lubiłem przyjeżdżać, bo miałem tam kolegów. Po wprowadzeniu stanu wojennego, który był naturalną weryfikacją, okazało się, że miałem do czynienia z ludźmi, którzy zakładali pierwszą Solidarność w Bieszczadach. Marek z kolegami organizował szkolenia dla działaczy Solidarności wiejskiej z Podkarpacia, w połowie lat 80. Pomagałem mu na zasadzie kontaktowania z ludźmi z KUL-u, gdzie pracowałem, namawiałem ich, by jechali do Przemyśla, Krasicyzna...

Do kościoła w Krasicyźnie przyjeżdżali z różnych części Podkarpacia. Wykładowcy z KUL-u prowadzili wykłady przystępnym językiem: o budowaniu społeczeństwa otwartego. To były wykłady, które nie polegały na tym, że się mówiło, że komunizm jest zły – bo to akurat każdy wiedział. Język wroga trzeba znać. On był wbrew pozorom bardzo prosty do rozpracowania, ponieważ system marksistowsko-leninowski nie jest żadnym systemem. Ludzie, bardzo często prości, ze wsi, otwierali oczy. I to było wspaniałe, to była bardzo wartościowa akcja, pod patronatem biskupa Tokarczuka, w związku z tym ileś tych spotkań mogło się odbyć, bo esbecja strasznie się bała tego niewysokiego wzrostu staruszka. Czapki przed nim chyliła.

WOJCIECH BUTKIEWICZ:

Funkcję salonu na KUL-u (lub też platońskiej Akademii) spełniał uczelniany dziedziniec, który był oazą w rozciągającej się po horyzont złowrogiej rzeczywistości. Tam dyskutowano – między sobą i z profesorami; czytano, siedząc na ławkach lub leżąc na trawnikach; umawiano się na randki i wygrzewano w słońcu pod krzakami bzu.

ANDRZEJ MAZUR:

Młodość była odlotowa. W latach 70. studiowała tam czołówka hipisów. Za wyjątkiem „Proroka”, który studiował na ATK. Druga czołówka studiowała na KUL-u – tam był „Pies” Terlecki, Baluba, Staniszewski... Andrzej Mitan. Wyglądało to ciekawie, jakby dziedziniec był wielkim wybiegiem na pokazie mody: kobiety odstrzelone, faceci też, włosy dowolne, trampki, byle jakie koszule flanelowe, plecaki... W tym wszystkim zachowano jednak bardzo wysoki poziom nauczania. Prof. Krąpiec ustalił zasadę: jeden profesor na siedmiu studentów. Na KUL-u nie były respektowane punkty za pochodzenie, m.in. dla młodzieży robotniczej i chłopskiej, studiowało tam sporo ludzi „pomarcowych”, inteligencja, arystokracja. Było to gremium, które nie chciało studiować na państwowych uczelniach. Nie było tam komitetów partyjnych, nie było obowiązkowych wykładów z marksizmu i leninizmu, komunistycznej indoktrynacji. Ludzie się nie bali swobodnie myśleć, otwarcie dyskutować.

Najgorętszym adresem w Lublinie było wówczas Sienkiewicza 44. W tym dwupiętrowym nowo wybudowanym murowanym domu mieszkali wszędzie „poupychani” studenci, a w piwnicy – szklarz. Niektóre pokoje zajmowały małżeństwa. To m.in. tu w jednym z mieszkań, na poddaszu, za firanką u małżeństwa Stepków stał spirytusowy powielacz zwany Zuzią. Także Wit Wojtowicz i Michał Zulauff kręcili tam bibułę, czyniąc to miejsce pierwszą drukarnią w Polsce.

” ILONA STEPEK:

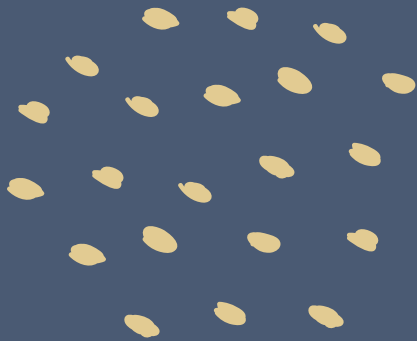
Zuzia przez jakiś czas była u nas, ale by zmylić przeciwnika, przechodziła z mieszkania do mieszkania. Dom na osiedlu domków jednorodzinnych był pod czerwoną żarówką, przez co mógł być mylony z lupanarem.

Dziwny dom na Sienkiewicza budził różne skojarzenia, dzięki którym trudniej było owo towarzystwo zdekonspirować.

” KRZYSZTOF SAWICKI:

Mieszkaliśmy niedaleko zakładu psychiatrycznego i z pewnością brali nas za pensjonariuszy.





Bibułę drukowano też w pokoju akademika męskiego przy ulicy Sławińskiego 8. W wygłuszonym, szczelnie zasłoniętym kocami, w dławiającym fetorze denaturatu drukowano nocami komunikaty KOR-u, potem pismo „Zapis” i wreszcie kolejne numery „Spotkań. Niezależnego Pisma Młodych Katolików”.

WOJCIECH BUTKIEWICZ:

Janusz Krupski w pierwszym numerze nakreślił cel, jaki przyświecał naszemu środowisku: „Niepodległa i demokratyczna Polska. Wolna Polska w Wolnym Świecie”. I jeszcze to, co doprowadzało komunistyczną władzę do furii: „Bez niepodległości narodów Związku Radzieckiego nie odzyskamy i nie utrzymamy własnej niezależności”.

WIT WOJTOWICZ:

O Piotrze Jedlińskim, którego wówczas nie znałem, opowiedział mi Janusz Krupski. Snuł najczarniejsze wizje i scenariusze, co może się stać, gdy wpadnę, straszyl więzieniem. Z Piotrem miałem się spotkać właśnie w Londynie i odebrać od niego przeznaczony dla nas powielacz. Rzeczywiście podczas jakiejś próby, w takim głębokim półmroku, jak to w teatrze Mądzika jest w zwyczaju, usłyszałem zza kotary sceniczny szepot: „Czy to ty jesteś Wit?”. I tak poznałem Piotra.

Z Januszem Krupskim skontaktował mnie Bogdan Borusewicz.

Po delegalizacji Zrzeszenia Studentów Polskich zastąpiono je tworem zwanym Socjalistyczny Związek Studentów Polskich, do którego większość z nas na KUL-u nie miała najmniejszej ochoty przystąpić. Tym protestom przewodniczył Janusz Krupski oraz Bogdan Borusewicz i Piotr Jegliński. Z czasem rozpoczęły się ostre dyskusje – co robić. Powstał pomysł, aby wszystkie koła naukowe oraz stowarzyszenia akademickie zjednoczyły się w jedną organizację i rzeczywiście powstała Komisja Koordynacyjna Stowarzyszeń Akademickich KUL. Pierwszym jej przewodniczącym został wybrany jednogłośnie Janusz Krupski, który cieszył się bardzo dużym autorytetem. Na początku grudnia 1976 r. Janusz przekazał nasz pierwszy powielacz do Warszawy. W Lublinie około połowy grudnia pojawił się nowy – spirytusowy, nieco większy i cięższy, ale za to bardziej wydajny. I podobnie jak poprzedni trafił do mojego pokoju w akademiku pod łóżko. Nazwałem go pieścizotliwie Zuzia na cześć kowboja Zuzi, o którym w modnej wówczas kabaretowej

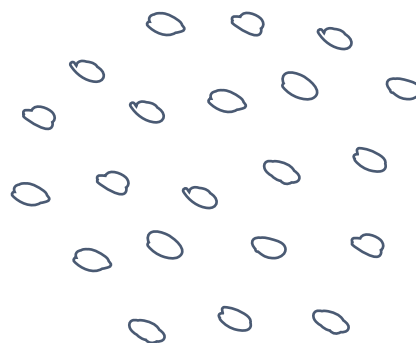
piosence śpiewał Mieczysław Czechowicz. Wtedy był to taki nasz slang – mówiło się np. idę z Zuzią na spacer. Papier nazywaliśmy „pieluchami”, denaturat „sokiem”: „trzeba parę pieluch kupić (tzn. kilka ryz papieru) i kilka butelek soku”.

Na wiosnę roku 1977 zaczęliśmy przygotowywać się do dużego numeru. Po uzgodnieniach z Warszawą ruszyliśmy wówczas z drukiem „Zapisu” nr 1. To było wielkie przedsięwzięcie logistyczne. Ten pierwszy „Zapis” datowany na styczeń 1977 drukowany był przez kilka miesięcy w różnych miejscach – pierwsze strony wykonano w akademiku.

Do naszego starego zespołu dołączyli Tadek Hofmański, Bogdan Pietrasiewicz, Michał Zulauf i Jasiek Stepek. O drukarzach wiedział jedynie Janusz Krupski.

Okna i drzwi uszczelnialiśmy kocami – smród był okropny, głowa bolała, pociliśmy się na fioletowo, a oczy bardzo piekły. Niektórzy nie byli w stanie długo wytrzymać tych warunków i napięcia. To była bardzo trudna, nieraz katorżnicza praca, często w fatalnych warunkach, w ciasnych pomieszczeniach w oparach denaturatu po kilkanaście, często po kilkadziesiąt godzin bez wychodzenia na zewnątrz. Z krótkimi przerwami na sen i tzw. prosty, żołnierski posiłek – koniecznie mleko (jako odtrutka) prosto z butelki, dżem, mocna herbata i bułka wecka w Lublinie zwana parówką oraz serek homogenizowany, a jako deser kisiel. Naszą pracę przy powielaczach traktowaliśmy jako formę manifestowania swojego sprzeciwu dla systemu komunistycznego. Wiedzieliśmy doskonale, że jeżeli zostaniemy schwytani, będziemy przez „łapsów” traktowani jak przestępcy.

Później drukowaliśmy przy ul. Sienkiewicza 44, gdzie stancję wynajmowali m.in. Iłona i Jasiek Stepkowie oraz w specjalnie na ten cel wynajętym mieszkaniu na Skołuby należącym, o ile pamiętam, do państwa Borysów. Tam można było drukować cały dzień i całą noc, zmieniając zespoły drukarzy. Druk pierwszego „Zapisu” sfinansowany został w całości z prywatnych środków Janusza Krupskiego. Drukowany był kilka miesięcy i skończyliśmy go chyba w maju. Uważaliśmy go za nasz sztandarowy szczególny produkt. Mieliśmy świadomość, że otwiera się era wolnego obiegu, że to jest coś więcej, daleko wykraczające poza „Komunikaty” z natury krótkie i z konieczności lakoniczne.



W październiku 1976 r. drukowano w Lublinie oświadczenia osób represjonowanych po Czerwcu 1976 r., Biuletyny i Komunikaty KOR-u, które dostarczano do Warszawy.

WOJCIECH BUTKIEWICZ:

Pierwszy numer „Spotkań”, z winietą zaprojektowaną przez Gosię Ocias, wydrukowany został w mieszkaniu Stefana Szaciłowskiego; kolejny na stryszku u studenckiego małżeństwa kulowskiego Ilonki i Jaśka Stepków. Tam też poznaliśmy przy korbie powielacza Michała Zulaufa, czarodzieja od świateł Sceny Plastycznej KUL. I był jeszcze Zygmunt Kozicki, hipis nieco wojskowego sznytu, o żelaznej woli, z ogromnym plecakiem, najsukuczniejszy kolporter świata. I Piotr Kałużyński, Czarny Piotruś. A wszyscy oni – barwne ptaki dziedzińcowego wybiegu – zaangażowani po uszy w konspiracyjną robotę, bo do druku i kolportowania doszło jeszcze przetrzucanie literatury z NRD, która tam docierała od Piotra.

I tak, przenosząc się z powielaczem z miejsca na miejsce, klucząc, by zgubić ewentualny „ogon”, dokonując karkołomnych zabiegów w celu zdobycia ryzy papieru i sześciu butelek denaturatu, zarywaliśmy noce, by pierwszym autobusem wracać o świcie, cuchnąc niemiłosiernie, do akademika, do „mojego” jedenastoosobowego pokoju. I można uznać, że to też było w jakimś sensie „romantyczne”. Oczywiście, były też zatrzymania, przesłuchania i rewizje – najbardziej bolesna była utrata wydrukowanego już całego nakładu pisma! Po takich „śmierdzących”, wyczerpujących psychicznie i fizycznie nocach z tym większym zaangażowaniem rzucaliśmy się w wir życia studenckiego.

WOJCIECH BUTKIEWICZ:

Ci kulowscy hipisi mieli wyraźne znamię różniące ich od innych wyznawców ruchu kontrkulturowego. Wybierali przecież to miejsce świadomi czułego cienia, jaki rzucały na dziedzińiec mury kościoła akademickiego i kumpłowali się z rówieśnikami w koloratkach. Właściwie wszyscy byliśmy hipisami – nosiliśmy długie włosy, ubieraliśmy się barwnie, artystycznie (skąd mieliśmy te ciuchy, kiedy wszystko było identycznie szarawe – nie wiem), kontestowaliśmy rzeczywistość, a jednocześnie byliśmy z porządnych, katolickich domów, z dobrymi świadectwami niezłych szkół i po zdanych egzaminach. Fascynowaliśmy się Wschodem, a jakże, i prozą iberoamery-

kańską, Julio Cortazarem, Jorge Borgesem – mnóstwo tego było, różnych lotów, ale w genialnych przekładach Zofii Chądzyńskiej. Odkrywaliśmy Stefana Themersona i Roberta Musila, a także to, co przesznujaliśmy z NRD, a pochodziło z Paryża, od Piotra: Sołżenicyna, Wata, Bobkowskiego, Miłosza. Zaczytywaliśmy się w wierszach Andrzeja Bursy, Rafała Wojaczka, Edwarda Stachury i Osipa Mandelsztama. Sami też pisaliśmy, wydaje mi się, że wszyscy, bo poetów na KUL-u było zatręśnienie: Andrzej Mazur, Tadzio Sokal, Adam Ossoliński, Krzysztof Paczuski, Wojtek Ładocha, Tadeusz Hoffmański... Przynajmniej raz w tygodniu odbywał się jakiś wieczór poetycki i do dziś mam w pamięci świetne współzawodnictwo w improwizacji.

ANDRZEJ MAZUR:

W letnie dni, leniwe, poza egzaminami nudziło się nam i często graliśmy w brydża: na parterze w kuchni stacyjnej Stepek tworzył pierwszą parę z koleżanką Elą z prawa z UMCS, a my z Markiem adwersarzy. Clou tutaj jest takie, że my z Markiem nie mieliśmy pojęcia o brydżu i graliśmy, żeby sprawić przyjemność Stepkowi. Licytowaliśmy, jak popadnie, zgodnie z galicyjską fantazją starannie wypracowaną w przemyskich garnizonach jako tak zwane „żurawiejki”:

**„hej dziewczyny
w górę kiecki
jedzie ułan jazłowiecki”.**

Więc licytowaliśmy, nie mając pojęcia o regułach brydża. Z bezczelnym przemyskim uśmiechem na ustach, udając geniuszy. A oto przykład licytacji:

- Stepek, otwiera licytację: 2 trefle
- Kuchciński: 2 karo
- Ela: 3 karo
- Mazur: 3 kier
- Stepek: 4 kier
- Kuchciński: 6 kier!!
- Stepek: Pas:
- Ela z UMCS: Pas.

Następuje wistowanie: wygrywamy z Markiem! Stepek może sobie pomarzyć z Elą! Obydwoje byli zaszokowani: wygrywaliśmy bez pojęcia o brydżu. Na szczęście przegrywaliśmy równie często, żeby nie powiedzieć częściej. Nie pamiętam już dzisiaj, czy za karę, czy przypadkiem ktoś jechał taksówką w nocy na dworzec PKP po carmeny.



Na stacji na Sienkiewicza mieszkało masę osób, katalog mniej czy więcej polskiej kultury: Czarek Harasimowicz z przyjaciółmi Wojtkiem Ziemińskim filmowcem i hrabią Antosiem Borzewskim, Wiesiek Lipiec z Januszem Malinowskim, stałym współpracownikiem Teatru Laboratorium Grotowskiego, Stepek z Zulauffem ze „Spotkań” Janusza Krupskiego i Sceny Plastycznej Leszka Mądzika, i wiele innych osób. No i moja skromna osoba – uczestnik stażów u Grotowskiego w 1976.

Ówczesny KUL to był też swoistego rodzaju pokaz mody. To w końcu Marek Jackowski w 1976 w maju roku po obejrzeniu mojej akcji parateatralnej powiedział: „Kur... na tym KUL-u jak w Berkeley”.

My z Markiem dodaliśmy do tego własny koloryt. Kiedyś postanowiliśmy wyruszyć na miasto odstrzeleni awangardowo, celowo dając pokaz: Kasia Stańczak, piękna studentka z wiklinowym koszykiem w ręku w fantastycznych chustach w odlotowej spódnicy, Marek z torbą w białych spodniach i podkoszulce, i ja w jakichś marynarskich gaciach z grubego płótna też białych, drewniakach.

Z długimi włosami jawiliśmy się publiczności lubelskiej jak ludzie z innego świata, awangardy, cywilizacji, kontrkultury, alternatywnego i wolnego postrzegania. Szliśmy tak przez pół Lublina, w tym ulicą uniwersytecką – Alejami Raławickimi, budząc zaciekawienie i szczerą podziw. Dzisiaj byłoby tak samo!

Z tego okresu przypomina mi się piękny dzień: Ela z UMCS na naszą prośbę postanowiła ugotować na obiad ruskie pierogi. Ponieważ do gotowania pierogów robionych ręcznie brakowało kilku godzin, Ela poprosiła nas, żebyśmy poszli naznosić chabrów z pól rosnących na polach daleko za dzielnicą Abramowice. Więc poszliśmy z Markiem w pola, zrywając chabry, maki i kąkole oraz kłosa zbóż na polny bukiet dla naszych koleżanek. Olbrzymie bukiety po kilku godzinach przynieśliśmy na stację.

Było pięknie. Dwóch studentów KUL zrywało z pół zbóż chabry dla studentek UMCS robiących pierogi. Co za symbioza, niby komunistyczne studentki UMCS i KUL-owscy antykomuniści w symbiozie wspólnego obiadu, kilkanaście pierogów z masłem na łebka...

Błękitne chabry, czerwone maki, żółte kłosa zbóż, uśmiech koleżanek, wspólnota uwielbiających się ludzi, od których nigdy nie odeszliśmy. To jest nasza lekcja. Na całe życie.

TEATR

Prawdziwe apogeum bujnego studenckiego życia następowało w maju, gdy organizowano Kullages, wiosnę kulturalną KUL – festiwal porównywalny z Famą w Świnoujściu. Przyjeżdżała tam czołówka twórców kultury studenckiej. Osjan, Jacek Ostaszewski, Manaam, Milo Kurtis, Anawa, Ela Adamiak, Janusz Muniak, Suchanek B, Kabaret Tej, Kazimierz Dąbrowski, Janusz Osęka.

ANDRZEJ MAZUR:

W latach 70. XX wieku był otwartym i oryginalnym środowiskiem rozwoju. Od 1974 co roku w maju odbywała się Wiosna Kulturalna Studentów KUL „Kullages”, porównywalna z ogólnopolskim festiwalem kultury studenckiej FAMA w Kołobrzegu.

Trwały rozpoczęte wcześniej lub realizowane monumenty leksykograficzne: „Komentarze do Ksiąg Biblijnych Starego i Nowego Testamentu” [1959, 1962; 33 tomy aż do 2020] i Encyklopedia Katolicka [1973, 20 tomów do 2014].

W uniwersytecie funkcjonowały dwie szkoły nauk: Kulowska Szkoła Biblijna oceniana ówczesnie jako trzecia w świecie po rzymskim „Biblicum” i Szkole Dominikańskiej w Jerozolimie oraz Lubelska Szkoła Filozofii Chrześcijańskiej, tzw. neotomizm egzystencjalny.

Na 2,5 tysiąca studentów było w szczytowym okresie 1976-1978 aż 6 zespołów Teatru Akademickiego KUL: znana w świecie „Scena Plastyczna” Leszka Mądzika, „Ubodzy” Mieczysława Abramowicza i Romana Doktora współpracujący z Teatrem Laboratorium Jerzego Grotowskiego we Wrocławiu, współpracujący również z Teatrem Jerzego Grotowskiego „Warsztat” pracujący w dwóch zespołach: Janusza Malinowskiego (mysteryjny) i Andrzeja Mazura (parateatralny), „Scena słowa” Stefana Szaćłowskiego i teatr „Rok” Macieja Szpindora.

Ówczesny hincior naukowy nowa dyscyplina naukowa „bioelektronika” była autorstwa profesora Filozofii Przyrody KUL ks. Włodzimierza Sedlaka.

W roku 1973/1974 restytuowano lektorat języka sanskryckiego i wykłady z filozofii indyjskiej, które prowadził dr Leon Cyboran.

Pierwsza misja Ruchu Świadomości Kriszny, jaka przyjechała do Polski (bhaktowie z RFN) w II połowie 1976 roku odbyła spotkanie na jedynym polskim uniwersytecie KUL.

WOJCIECH BUTKIEWICZ:

Zapominaliśmy przez tych kilka dni o bożym świecie, o śnie, czasem nawet o jedzeniu. Wszędzie coś się działo i wszystko było fascynujące. Chciało się być wszędzie i we wszystkim uczestniczyć: tam, gdzie Halina Mikołajska recytowała Herberta i Miłosza; w spotkaniach z Jarosławem Markiewiczem czytającym swoje wiersze (pod oknem przysiadł motyl – Kasia Stańczak, przez okno wdzierał się bez); z Januszem Kurczabem o sukcesach polskich himalaistów, z Krzysztofem Kieślowskim pokazującym swoje filmy dokumentalne; w wykładach – Aldony Jawłowskiej; w spektaklach – Teatru Adekwatnego Magdy Teresy Wójcik i Henryka Boukołowskiego, Teatru Ósmego Dnia; w działaniach plastycznych i muzycznych, które realizowały się w każdym, nawet najbardziej niespodziewanym miejscu: Galeria Repassage i Sławek Furmankiewicz tworzył monumentalne rzeźby w piachu na budowie frontonu uczelni i grał na rurach od odkurzacza; Jacek „Krokodyl” Malicki wykonał Grające Drzewo z krzewu rosnącego w rogu dziedzińca; w korytarzu grał na lutni renesansowej Antoni Pilch, „kolejny uczestnik spotkań strychowych, sam zresztą przemysłanin”; gdzieś stojąc na stole, śpiewał Andrzej Mitan; w salce Theresa Waclawik prezentowała swoje obrazy i grała na gitarze; i Jacek Kleyff przyjechał z Jurkiem „Słomą” Słomińskim. A na dziedzińcu „ludki”, czyli podwórkowa młodzież z lubelskiej Starówki, pod wodzą Tadzia Sokala i Adasia Lewickiego konstruowała latawce...





Marek Kuchciński skończył raz na zawsze spektakl parateatralny „Warsztatu” kulowskiego pod tytułem „Oddech i sen”.

ANDRZEJ MAZUR:

Na przełomie 1974 i 1975 na którejś ze stacji lubelskich po nocnej rozmowie na temat ówczesnego bestsellera angielskiego benedyktyna Bede Griffithsa „Złota nić” Janusz Malinowski, student polonistyki zaprosił mnie do wzięcia udziału w założonym przez niego teatrze studenckim „Warsztat”. Na pierwszej próbie w sali KUL zauważyłem Marka Kuchcińskiego. A więc był członkiem zespołu. Były to próby do spektaklu reżyserowanego przez Janusza Malinowskiego „KM” wg Juliusza Słowackiego. Po intensywnych wielogodzinnych codziennych zajęciach nabieraliśmy masę doświadczeń, przez cały miesiąc pracując ostro pod kierunkiem Reny Mireckiej i Zbigniewa Cynkutisa, a Janusz i Przemek pod kierunkiem Jerzego Grotowskiego. Po powrocie do Lublina rozpoczęliśmy próby w udostępnionej nam przez o. Ludwika Wiśniewskiego olbrzymiej sali katechetycznej w klasztorze dominikanów na Starym Mieście. Sala była wysoka, miała elastyczne deski, co dla nas było idealne ze względów technicznych. Parateatr wymaga dużo siły fizycznej i samozaparcia: zarówno na próbach dwa razy w tygodniu i własnych prywatnych studiach i ćwiczeniach. Po 8 miesiącach w maju 1976 pokazaliśmy parateatralny spektakl „Oddech i sen” w mojej reżyserii w składzie: Przemek Łoś – bębny, taniec, flety tenorowe, maska z króliczej sierści, szczudła, Wiesław Łoś – bębny, Rena Pacewicka – taniec, bębenki, Michał Zulauff – flety tenorowy i barytonowy, bębenki i ja – bęben szeroki o średnicy 1 metra, recytacja w asanie „kruk” 20 sanskryckich wersów Patañdzalajogasutrani.

Te szczegóły dla osób, które nie znały tamtej epoki, niewiele znaczą. Byliśmy „warsztatowcy” z Lublina, jednym z dwóch chyba polskich teatrów studenckich, które zostały zaproszone wtedy do Wrocławia wśród 300 osób z całego świata. Przedstawiciele awangardy teatralnej zawodowej jak Jean Louis Barrault, Eugenio Barba, Andre Gregory, Peter Brook, „Odin Theatre”, Joseph Chaikin oraz starannie wyselekcjonowanych trup eksperymentalnych półzawodowych i studenckich z USA, Szwecji, Francji, Szwajcarii, Anglii, Australii itp.

Naładowani wiedzą i praktyką parateatralną widzianą po raz pierwszy w świecie we Wrocławiu, po ośmiu miesiącach ciężkiej harówki pokazaliśmy w budynku KUL oryginalny spektakl niezawierający ani jednego dialogu, ani jednej kwestii za wyjątkiem ponadminutowej recytacji staroindyjskiego tekstu w niezrozumiałym dla widzów sanskrycie. I dalej zmierzam do clou: po spektaklu trwającym 45 minut każdy mógł do niego wejść, grać na instrumentach, chodzić na szczudłach, tańczyć, bawić się.

Spektakli „Oddechu i snu” zwanych przez nas „próbami” było 11.

Po 11 próbach spektakl się skończył nieodwołalnie, bo Marek Kuchciński zniszczył mój bęben! A było to tak: jak zawsze po spektaklu wszedł do wspólnej zabawy, kto chciał, walono w bębny, tańczono, pokrzykiwano, co odważniejsi włązili na szcudła, hałasowali na trąbce sygnałównce, gwizdali we flety. Atmosfera zawsze była ostro naładowana i wyluzowana jednocześnie – na pierwszej próbie w maju 1976 dr Leon Cyboran, jeden z trzech najlepszych ówczesnie specjalistów w Europie od filozofii indyjskiej, wszedł po spektaklu i tańczył z dużą werwą oryginalne tańce szamanów indyjskich, których nauczył się w Indiach.

Wtedy na 11. próbie wszedł również Marek – czy był na wcześniejszych, nie pamiętam – i zaczął grać na moim metrowym bębnie. Bawiło się chyba kilkadziesiąt osób wtedy bardzo udanie, no bo tak poleciały ostre rytmy, że Marek przygrzał za mocno i skóra na bębnie pękła!

Mimo krótkiego stażu w „Warsztacie” Janusza Malinowskiego i braniu udziału w otwartej akcji parateatralnej dostępnej dla wszystkich po „Oddechu i śnie”, jak i pewnie innych, Marek na pewno wiele skorzystał z doświadczeń obu reżyserów i zespołów. Absolutnie tego nie bagatelizuję. Raz, że „Warsztat” był w stałym roboczym kontakcie kilka lat z najważniejszym wtedy teatrem na świecie Instytutem Aktora – Teatrem Laboratorium Grotowskiego. I każdy, kto zetknął się z pracami albo Malinowskiego, albo Mazura i zespołu widział studentką, bo studentką, ale jednak aktualną wersję przełożenia prac Grotowskiego na spektakle pokazywane na KUL-u.

Marek uczestniczył w próbach do „KM” i widział ćwiczenia początku spektaklu, którym było – jak ja je określam – „koło Tchaikina”. Był to po kilku minutach próby zachwycający i prawie mistyczny lub mistycyzujący, tajemniczy zaśpiew trzymany przez wszystkich aktorów idących w kole wokół sali. Sam dałbym dzisiaj wiele, żeby zobaczyć i uczestniczyć w tym pięknym, absolutnie tajemniczym i misteryjnym kole. Ale kto go dzisiaj potrafi?

A w „Oddechu i śnie” widział skoncentrowaną w niezbyt dużej sali ostrą jazdę warsztatu z dominantą w postaci regularnych potężnych i rytmicznych uderzeń w trzy bębny z superoryginalnym tańcem stricte parateatralnym Przemka Łosia. W przyszłych latach stałego uczestnika stażów u Grotowskiego.

Leszek Mądzik po 1 próbie „Oddechu i snu” podszedł do mnie i powiedział, że widział już wszystkie zawodowe i studenckie festiwale, ale pierwszy raz widział takie bębny. Ćwiczyliśmy tę etiudę na 3 bębny i taniec zwany przez nas „strzałą” 3 miesiące, doprowadzając ją do perfekcji.

Absolutną nowością było zaproszenie widzów do udziału w improwizowanych działaniach po spektaklu parateatralnym. I tę rzecz poznał Marek, jak i inni widzowie – było to bardzo awangardowe rozwiązanie. Wspólne granie, śpiewanie, w dymach kadzi-deł, w sali wyłożonej zielonymi gałęziami, tańce, śmiechy i zabawy. Na „Oddech i sen” obowiązywały imienne zaproszenia – nigdy nie biletowaliśmy spektaklu.

Tak jak nie biletowaliśmy od 1976 do 1978 otwartych akcji parateatralnych robionych przez 3 dni majowe w całym budynku KUL, dostępnych darmowo dla wszystkich. W tym jedna akcja nazwana „taczki” polegała na tym, że każdy człowiek mógł ją reżyserować, uwielbiała ją młodzież lubelska. Trwała 3 dni. Przemek Łoś, który wyjechał na studia do Wrocławia, po zakończeniu działalności „Warsztatu”, żeby brać udział w pracach Grotowskiego, podczas naukowo-popularnej sesji z okazji 60-lecia Teatru Akademickiego KUL w 1983 powiedział oficjalnie, że „Andrzej Mazur wyprzedził w pracach parateatralnych Jerzego Grotowskiego o 1,5 roku”. Wywołał tym sensację. Gdyby to była prawda – a jest, jak dowodzą tego moje badania 1998-2018 – to biorąc udział w otwartych akcjach parateatralnych w tych latach, widzieliśmy już awangardę, która przerosła Jerzego Grotowskiego.

Mój zespół warsztatowy – prowadzący prace w „Oddechu i śnie”, i w otwartych wielogodzinnych i wielodniowych akcjach parateatralnych” zwanych ragami – był prawdziwie otwarty. Koniec bębna, który wyznaczył, grając na nim Marek, oznaczał zakończenie prac w „Oddechu i śnie”.

Absolutnie nie mieliśmy do Marka pretensji, mieściło się to świetnie w otwartej konwencji naszego parateatru. I myśmy to przyjęli ze śmiechem i naturalnie, jako oficjalne zakończenie spektaklu. Padł bęben, no i fajnie. Koniec roboty. Kwestia humorystyczna polegała też na tym, że bęben ten zakupiliśmy w antykwariacie muzycznym w Lublinie, z dobrą skórą, w drewnianej akustycznej obudowie, obwieszony był półmetrowymi grubymi sznurami, które pracowicie na nim umieszczałem. I drugiego takiego bębna już nie było. Marek skończył więc „Oddech i sen” po 11 próbach. Dziś myślę, że było to bardzo dobre rozwiązanie – spektakl był bardzo forsowny fizycznie i technicznie. I należało bardzo uważać – myśmy grali na tzw. bosaka – żeby nie odnieść kontuzji. Bardzo możliwe, że kiedyś taka kontuzja mogłaby się przydarzyć. Podczas ośmiomiesięcznych prób do spektaklu myśmy wyeliminowali wszystkie niebezpieczne momenty w grze.

Grotowski określał często ten etap eksperymentu parateatralnego lat 70., po spektaklu „Apocalypsis cum figuris” jako praktykowanie kultury czynnej. Myślę, że obydwa zespoły warsztatu, w których Marek brał udział w próbach czy otwartych akcjach – demonstrowały tę czynną kulturę.

2 czerwca 2019 r. podczas uroczystych obchodów w Muzeum Narodowym Ziemi Przemyskiej m.in. 30-lecia działalności przemyskiego „Strychu Kulturalnego” prowadzonego przez Marka Kuchcińskiego w rozmowach z profesorami Krasnodębskim, Dybciakiem, Terleckim i Drausem podkreślałem, że myśmy wtedy na KUL-u nie mieli żadnych kompleksów w stosunku do Zachodu i jego uniwersytetów.

KUL w latach moich studiów 1972 – 1979 był prawdziwie otwartą europejską uczelnią.

Od obowiązkowej lektury na wydziale teologicznym klasycznej pozycji Marii Ossowskiej „Etos Rycerski”, przez rozpoczęcie kursu filozofii od podstawowego dla cywilizacji Zachodu filozofa antycznego Parmenidesa z Elei, zakuwanie definicji nauki Arystotelesa z Aten połączonych z definicjami Alfreda Tarskiego i logików lwowskich, przez częste wykłady zachodnich wykładowców, festiwale muzyczne, teatralne, oryginalny wtedy teatr plastyczny „Scena” Leszka Mądzika, pokazywanie spektakli opartych na metodzie „ubogiego teatru” czy już parateatru Grotowskiego i innych doświadczeń awangardy, stałą obecność poezji, w której wtedy Lublin przodował w Polsce, punk i opartą na nim modą i instalacjami, uczestnictwo w studenckich protestach, lektury pozadebitowych czasopism i bibuły.

To podczas studiów na KUL-u rozmawiałem aż kilka godzin z Franciszkiem Starowieyskim, słuchałem wykładów Józefa Szajny, słuchałem koncertu Krystiana Zimmermana i pięknie grającej na skrzypcach Kai Danczowskiej, kabaretu TEY, Marka Grechuty i Anawy, Ossian, pierwszego składu Maanam z Milo Kurtisem i Markiem Jackowskim – którzy wystąpili w „Warsztacie” na koniec jednej z moich akcji parateatralnych w 1977 roku, saksofonisty Janusza Muniaka z basistą Suchankiem, poetów Jarka Markiewicza, Olka Rosenfelda, Krzysztofa Paczurskiego, Czarka Listowskiego i wielu, wielu innych poetów, Alberta i Strobla, Elę Adamiak, performerów jak Gosia Sady i poeta Piotrek Grauman. Potężna i niedokończona opowieść...

Barwne świetne studenckie życie, wielowymiarowe, pełne oryginalnych inspiracji.

JACEK MARCIŃCZAK:

To były czasy hipisów. Jak każda młodzież, różnie reagowali na potrzebę wolności. Jedni byli artystami, próbowali grać, śpiewać, tworzyć własne utwory, inni oddawali się kontemplacji.

Marek grał na kongach, afrykańskich bębnach. Zespół nazwaliśmy Ptah – od bogini płodności – a oni byli płodni, pełni wigoru, z otoczką, mówiącą o innym świecie, robili dużo własnych utworów, dużo koncertów. Graliśmy muzykę wyrafinowaną; gitary, fuz, harmonijka ustna zderzenie klasyki, jazzu, rocka. Oscylowaliśmy w kierunku muzyki ujezowionej, chłopcy zdobywali szlify swingowe. Grając w dużym składzie utwór „Wstęp do Karawany” Elingtona Diuka: konga, fortepian, bas, gitara, dwa flety, chór męski, Ptah wygrał konkurs w Puławach. Jak wyraziło się jury: Ten zespół to nas zaszokował.

„Bez picu panie, bez picu, socjalizm jest na księżycu. A w Polsce pracować trzeba, dla chleba” – inicjatywą Marka Kuchcińskiego było zaliczenie tej piosenki na każdym spotkaniu zespołu. Był bardzo kreatywny. Jeśli chodzi o sprawy wolnościowe, działał bardzo prężnie. W czasie, gdy policja łapała, strzygła, byliśmy bezsilni. To był bunt artystyczny – poprzez teksty, słowa, po stanie wojennym, gdy Solidarność doszła do głosu, była wciąż cenzura. Zrobiliśmy program „Tupet show, czyli arka nowego”. Program, w którym występowali ludzie z tego środowiska, instrumenty, grupa taneczna. Po cenzurze dopuszczono program na scenę. Był wojewoda...

Zaraz po pierwszym występie został zdjęty. Tekst dał się ocenzurować, nikt nie widział jednak ruchów. Był np. balet: na scenę powychodziły różne wędliny i szynka spieprzała na Wschód. Nie było żadnych represji.

W Puławach dostaliśmy zaproszenie do studia w Lublinie. Nasz perkusista był człowiekiem ciężkim we współpracy, pokłócił się z nami, i musieliśmy zrezygnować. Honorowo oddaliśmy nagrodę zespołowi z Lublina, który potem stał się Budką Suflera. Marek występował też w kabarecie, gdzie można się było wyżyć politycznie. W spektaklu występował jako Odys. Gdy powracał, walił w drzwi i krzyczał: „Penelopo, to ja!” To było dość śmieszne. Dlatego nazywaliśmy go Penelopa.

WALDEMAR WIGLUSZ:

Po 1989 roku kontynuacją spotkań strychowych były spotkania (i konferencje) organizowane w ramach Przemyskiego Towarzystwa Kulturalnego (prezesem był Marek Kuchciński) np. z Ryszardem Legutką, Jackiem Maziarskim, Janem Szyszko, Ludwikiem Dornem, Markiem Jurkiem, Antonim Macierewiczem, Adolfem Juzwenko, Jackiem Kurskim, Michałem Kuleszą, Kazimierzem Ujazdowskim i in. Towarzystwo uległo rozwiązaniu, gdy Marek zajął się działalnością samorządową i partyjną. W miarę regularnie odbywały się spotkania w mieszkaniu Jana Musiała, gdy przez okres około pół roku, w trójkę nauczyliśmy się łaciny z podręcznika, nawzajem próbując konwersować i czytać. Niestety nie była to efektywna forma, bo ciągle powracały bieżące sprawy i tematy do załatwienia oraz wymiana informacji.

Czasem równolegle odbywały się spotkania w mieszkaniu państwa Kalinowskich w Przemyśle – historyków sztuki i oglądania wspólnego na video filmów takich jak „Przesłuchanie” Bugajskiego czy też filmów-parodii Jacka Fedorowicza.

MAREK MIKRUT

Nikt nie mógł przewidzieć, jak potoczą się nasze losy. Jedyne, co było pewne, to świadomość, że brak zaangażowania z naszej strony doskwierałaby nam już zawsze jako straszny błąd zaniechania. Łączyło nas pragnienie wiedzy. Każdy na swój użytek musiał sobie ten świat poskładać na nowo. Zapełnić wiedzą historyczną, polityczną i uporządkować artystycznie. Fakt spotykania się w grupie kilkudziesięciu osób, prowadzenia rozmów na najważniejsze, wydawało się, tematy z tymi, którzy byli już wtajemniczeni i na drodze ku wolności kroczyli znacznie przed nami, był czymś niezwykłym. Po latach mogę podziękować losowi, że znalazłem się wtedy w gronie tych aktywnych osób, które wyróżniła ta niezwykła ciekawość. Jej efektem było kilkadziesiąt tematycznych spotkań z ludźmi, których wiedza i umiejętności mogły być wystawione na szereg naszych zachłannych pytań. O tym, że było warto, świadczył wielokrotnie fakt pojawiania się tych nazwisk, naszych prelegentów, jak i uczestników strychowych spotkań w przyszłej 30-letniej publicznej przestrzeni polityczno-kulturowo-medialnej.

LUCYNA PODHALICZ

Takie miejsca intelektualnych wyzwań jak „Strych Kulturalny” powinny być wówczas, ale i teraz, w każdym mieście. Patrząc bowiem na tę przemyską inicjatywę Marka, trzeba przyznać, że osoby biorące udział w tych niezwykle interesujących spotkaniach miały szczęście wykrystalizować swoje poglądy polityczne w sposób klasyczny i najlepszy, czyli w dyskusji, w debacie. Osoby te zbudowały swoje pryncypia (pamiętne słowo podkreślane przez Jarka Piekałkiewicza, jednego z gości strychu). Większość z nas, jeśli nie wszyscy, zaangażowało się od 1989 r. w komitety obywatelskie, w działalność polityczną, samorządową, na szczeblu lokalnym, regionalnym i ogólnopolskim. Każdy ma konkretny dorobek, zostawił trwały, altruistyczny ślad, wielu nadal zmienia Polskę. Strych to było miejsce ludzi z misją – gotowych ciężko pracować dla Ojczyzny.

MAREK ZAZULA

Byliśmy w nielicznym gronie szczęściarzy, którym dane było wysłuchać wykładów takich znamienitych gości jak doradca prezydentów Stanów Zjednoczonych prof. Zbigniew Brzeziński, który w Centrum Kulturalnym (pod imponującą obstawą) szkicował nam reguły komunistycznego systemu i możliwości jego pokonania, czy zafascynowany Conradem Korzeniowskim prof. Zdzisław Najder. W Przemysłu istniało sanatorium astmatyczne, do którego zawieźliśmy go z Markiem. Profesor opowiadał nam wówczas, że pisarz przebywał tam wraz z rodzicami.

Miałem dojście do konsulatu USA i otrzymane od nich filmy przemycałem nocą w pokrowcu na wiolonczelę. Przy pomniku Mickiewicza w Przemysłu stało pięciu „patrolujących” teren zomowców, z karabinami opartymi o ławkę. Towarzystwo już podpite zawołało: „Te, grajek, chodź no tu”. Idę więc przerażony, bo jak zajrzą do futerału, to będzie po mnie. Nalali mi jednak do szklanki wódkę, kazali wypić i iść do domu... Chowanie – rzeczy i ludzi – było jedną z mistrzowskich umiejętności strychowej grupy. Ja na przykład przemieszczałem się czasem zamknięty w bagażniku Markowej toyoty, jak choćby wtedy, gdy sporą grupą jechaliśmy na odsłonięcie pomnika Kard. Wyszyńskiego w Komańczy.

BOB FIELDING

Przeróżającym obrazem minionej epoki jest kolejka po papier toaletowy, w której ustawiłem się, nie mając świadomości, że otrzymam rolkę dopiero wówczas, gdy okażę kwitek za makulaturę. Nie od razu zrozumiałem całą sytuację, ktoś z kolejki zapytał: „Czy oddał Pan 24 kilogramy starych gazet, by dostać papier toaletowy?” Wtedy pomyślałem: Ja pier... muszę obalić ten reżim.

Ciekawostką jest to, że to właśnie Fielding poznał Marka Kuchcińskiego z Jarosławem Kaczyńskim. Miało to miejsce w 1990 roku na Politechnice Warszawskiej podczas spotkania Solidarności.

Kilkunastoletnią działalność najlepiej podsumować liczbami:

- Grubo ponad 100 spotkań zorganizowanych bez pomocy żadnych instytucji państwowych, z funduszy najczęściej prywatnych, przy pomocy zwykle paru ledwie ludzi.
- Ponad 200 wystaw,
- kilkanaście koncertów,
- dwa niezależne plenery,
- kilka książek wydanych,
- sześć numerów „Strychu Kulturalnego”, periodyku już elitarnego, ściśle formacyjnego.
- kilkanaście numerów miesięcznika „Spojrzenia Przemyskie”, przeznaczanego dla szerszego grona czytelników, ale na poziomie o niebo wyższym od innych przemyskich pism,

Żadne środowisko w Polsce Południowo-Wschodniej długo jeszcze taką listą znaczących nazwisk światowych i krajowych twórców, humanistów oraz zrealizowanych wydarzeń kulturalnych, w tym edytorskich, się nie pochwali.

ŁUDZIE ZE STRYCHU

ks. Bartmiński Stanisław, proboszcz parafii rzymskokatolickiej w Krasieczynie (1970-2008), współtwórca duszpasterstwa rolników, organizator pomocy internowanym w stanie wojennym i wsparcia działalności opozycji rolniczej w latach 80. XX wieku.

Butkiewicz Wojciech, historyk, sekretarz redakcji „Biuletynu IPN”, w czasie studiów w KUL związany z opozycyjnym środowiskiem „Spotkań” lubelskich.

Choma Robert, samorządowiec, wiceprezydent Przemyśla (1996-1998), wiceprezes Krajowego Urzędu Pracy (1998-2001) i prezydent Przemyśla (2002-2018).

Cywicki Janusz J., malarz, grafik, profesor UR, od 40 lat związany z Galerią Sztuki Współczesnej w Przemyślu (dawniej BWA), a także wieloletni kurator Międzynarodowego Triennale Malarstwa Regionu Karpat „Srebrny Czworokąt”.

Czarski Janusz, filolog, animator kultury niezależnej.

Dybiak Krzysztof, historyk i teoretyk literatury, krytyk, eseista, profesor KUL i UKSW.

Bob Fielding Robert, tłumacz, amerykański działacz związkowy, pracownik Biura Zagranicznego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, przedstawiciel amerykańskich związków zawodowych AFL-CIO, po 1998 r., kierował programem Centrum Solidarności AFL-CIO wspierającym rozwój demokracji w państwach postkomunistycznych Europy Wschodniej.

Kamiński Marek, robotnik, drukarz, działacz podziemnej Solidarności, przewodniczący Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” Ziemi Przemyskiej (1988-1991).

Karuś Jan, rolnik z Tapina, powiat jarosławski, działacz opozycji chłopskiej lat 80., sygnatariusz porozumień ustrzycko-rzeszowskich w 1981 r., które przyczyniły się do powstania Niezależnego Związku Solidarności Rolniczej.

Koba Stanisław, malarz, rysownik, absolwent krakowskiej ASP.

Kuchciński Marek, założyciel, gospodarz i wydawca „Strychu Kulturalnego”, poseł, marszałek Sejmu VIII kadencji

Kurylak Józef, poeta, eseista, autor wielu tomików wierszy.

Legutko Ryszard, filozof, profesor nauk humanistycznych, publicysta, autor książek o tematyce społeczno-politycznej, tłumacz dzieł Platona, polityk, senator (2005-2007), wicemarszałek Senatu VI kadencji, minister edukacji narodowej (2007), od 2009 poseł do Parlamentu Europejskiego.

Marcińczak Jacek, muzyk, instruktor muzyczny i kierownik artystyczny wielu grup muzycznych od lat 70., w tym zespołu PTAH.

Mazur Andrzej, filozof, teolog, studiował hermeneutykę w KUL, współtwórca parateatru akademickiego KUL, b. ekspert PAN i UNESCO.

Mikrut Marek, artysta malarz, grafik (ASP Kraków), członek środowiska strychu, wicedyrektor Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej.

Musiał Jan, filolog, dr nauk humanistycznych, polityk, nauczyciel akademicki, dziennikarz, działacz opozycji antykomunistycznej w okresie PRL, senator RP I i II kadencji, wojewoda przemyski (1990-1992), uczestnik spotkań strychowych.

Olbromski Mariusz, filolog, poeta, prozaik, muzealnik, działacz opozycji i Klubu Inteligencji Katolickiej w Lubaczowie, dyrektor Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej (2000-2010), zaangażowany we współpracę z polskim i ukraińskim środowiskiem kultury dawnych Kresów południowo-wschodnich.

Piekałkiewicz Jarosław, profesor nauk politycznych Stanowego Uniwersytetu Kansas, specjalista od systemów totalitarnych, „Odznaczony Wykładowca Cywilizacji Zachodniej”.

Podhalec Lucyna, socjolog, członek środowiska Strychu, w latach 2001-2017 dyrektor biura poselskiego Marka Kuchcińskiego, radna Rady Miejskiej w Przemyślu (2006-2018) i przewodnicząca Rady (2017-2018), wicewojewoda podkarpacki (2018-2020).

Robinson Edward, brytyjski rzeźbiarz, myśliciel, estetyk, dyrektor Ośrodka Badań Alistera Hardy w College'u Manchester w Oxfordzie (1980-1990) oraz dyrektor Centrum Studiów nad Duchowością i Sztuką Uniwersytetu Londyńskiego.

Sawicka Jadwiga, malarka, fotografik, studiowała w krakowskiej ASP u Jerzego Nowosielskiego, profesor UR.

Sawicki Krzysztof, filolog, dziennikarz, redaktor, działacz opozycji solidarnościowej, od 1990 r., dyplomata, m.in. Konsul Generalny RP we Lwowie (2000-2003).

Scruton Roger, brytyjski filozof, konserwatywny myśliciel, pisarz, kompozytor, eseista, krytyk, redaktor naczelny „The Salisbury Review”, wspierał działalność opozycji w państwach obozu komunistycznego (Węgry, Czechosłowacja, Polska).

Selbourne David, brytyjski filozof, historyk idei, publicysta, w latach 80. wspierał podziemną działalność opozycji w Europie Środkowej.

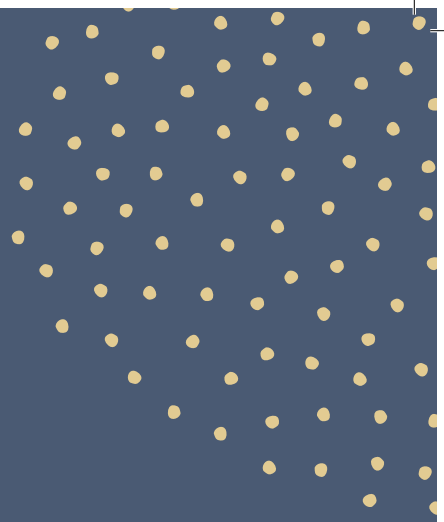
Steele Hunter Margaret, malarka, rzeźbiarka, ilustrator, studiowała w Glasgow School of Art (1981-85) oraz w Hochschule der Kunste w Berlinie Zachodnim u George'a Baselitza (1985-86), mieszka w Berlinie.

Stepek Ilona, historyk, w latach 70., razem z mężem Janem A. Stepkiem działała w środowisku „Spotkań” lubelskich.

Wiglusz Waldemar, działacz NSZZ „Solidarność” (w 1981 sekretarz Zarządu Regionu „S” Ziemia Przemyska), urzędnik skarbowy, Prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Przemysłu, uczestnik spotkań strychowych.

Wojtowicz Wit, historyk sztuki, dyrektor Muzeum w Łąncucie, w latach 70. współtworzył środowisko opozycyjne „Spotkań” lubelskich.

Zazula Marek, absolwent Akademii Muzycznej w Krakowie, wiolonczelista, dyrygent, jeden z inicjatorów kultury niezależnej w Przemysłu, Dni Kultury Chrześcijańskiej i wystaw interdyscyplinarnych Człowiek – Bóg – Świat.



OPISY ZDJĘĆ

Okladka I:

- spotkanie autorskie z Pawłem Niemkiewiczem, strych, listopad 1989 r., na zdjęciu od lewej: Leonard Reppel, Barbara Mięka, Dorota Mech, Monika Maresch, Marek Kuchciński, Paweł Niemkiewicz.

Okladka II:

- spotkanie autorskie z Markiem Lillą, strych, październik 1989, na zdjęciu od lewej: Lucyna Podhalicz, Mieczysław Dudek, Wojciech Mięka, Jadwiga Reppel, Józef Kurylak, Marek Kuchciński, Mark Lilla.

Str 7:

- okładka „Strychu Kulturalnego”, zeszyt 2, wiosna 1989 r.

Str 12-13:

- Marta Sienicka „Miss redakcji”, amerykanista, współautorka „Historii literatury Stanów Zjednoczonych w zarysie. Wiek XVII-XIX” i Stefan Makowiecki, anglista, autor monografii o Malcolmie Lowry. Na strychu, jesień 1986 r.

Str 18:

- Jarosław Piekalkiewicz, profesor nauk politycznych Stanowego Uniwersytetu Kansas na spotkaniu strychowym w Przemyskim Towarzystwie Kulturalnym, lipiec 1995 r., pt. „6 lat po okrągłym stole”.
- Edward Robinson, rzeźbiarz, myśliciel, estetyk, dyrektor Centrum Studiów nad duchowością i sztuką Uniwersytetu Londyńskiego, spotkanie strychowe, październik 1988 r., o sztuce i metafizyce.
- Krzysztof Zanussi, reżyser, spotkanie autorskie, listopad 1990 r.
- Roger Scruton, filozof, myśliciel, pisarz, w Krasiczynie, wrzesień 1990 r.

Str. 24:

- Margaret Steele Hunter, obraz, olej, płótno.

Str. 28:

- Otwarcie III Wystawy sztuki „Człowiek – Bóg – Świat”, wrzesień 1988 r., Przemysł, podziemia kościoła ojców franciszkanów. Od lewej stoją w pierwszym rzędzie: Jan Jarosz, NN, NN, Grażyna Niezgoda, Barbara Hawajska, Janusz Eysymont, Henryk Waniek, Maciej Gutowski, ks. Stanisław Zarych.

Str. 29:

- III Wystawa sztuki „Człowiek – Bóg – Świat”, wrzesień 1988 r., przed wejściem do podziemi kościoła ojców franciszkanów w Przemysłu. Od lewej: Marek Kuchciński, Grażyna Niezgoda, Ryszard Żółtaniecki, Janusz Eysymont, Henryk Waniek (tyłem), Margaret Still-Hunter, Joachim Gross.

Str. 32:

- Wystawa sztuki „Człowiek – Bóg – Świat”, wrzesień 1986 r., Przemysł, podziemia franciszkańskie

Str. 34:

- Mirosław Kocol, „Zdjęcie z krzyża”, obraz, akwarela, papier.

Str. 40-41:

- Tadeusz Nuckowski, Plakat wystawy „Człowiek – Bóg – Świat”, 1986 r.

Str. 45:

- Jan Jarosz i Marek Kuchciński na strychu, jesień 1987 r.

Str. 50:

- Dziedziniec KUL, maj 1976, od lewej: Janusz Malinowski – założyciel teatru studenckiego Warsztat i członkowie grupy: Andrzej Mazur, Michał Zulauf, Agnieszka Golka, Grzegorz Chomicki.

Str. 51:

- Dziedziniec KUL, maj 1976, od lewej: Mieczysław Abramowicz „Metys” z Teatru Grupa Ubogich, Marek Kuchciński, Ryszard Tkaczyk „Raszek”.

Str. 54:

- KULLAGES’76 zdjęcie u góry: Wiosna Kulturalna Studentów KUL, Lublin, maj 1976 r. Stoją od lewej: Marek Jackowski – Manaam, Anna Hepner, Leonard Górski, Piotr Mitan, Zuzanna Gałązka z USA, Henryk Wójcik „Globaj”. Siedzą w 2. rzędzie: Katarzyna Stańczak, Anna Ambroż, Milo Kurtis – Manaam, Adam Lewicki z gitarą. Siedzą w 1. rzędzie: Krzysztof Wasilewski, Lutek Furmaga, Marek Kuchciński w kaszkiecie.
- zdjęcie u dołu: Andrzej Mazur i Marek Kuchciński w scenie rodzajowej podczas Otrzęsin w KUL, zima 1974 r.

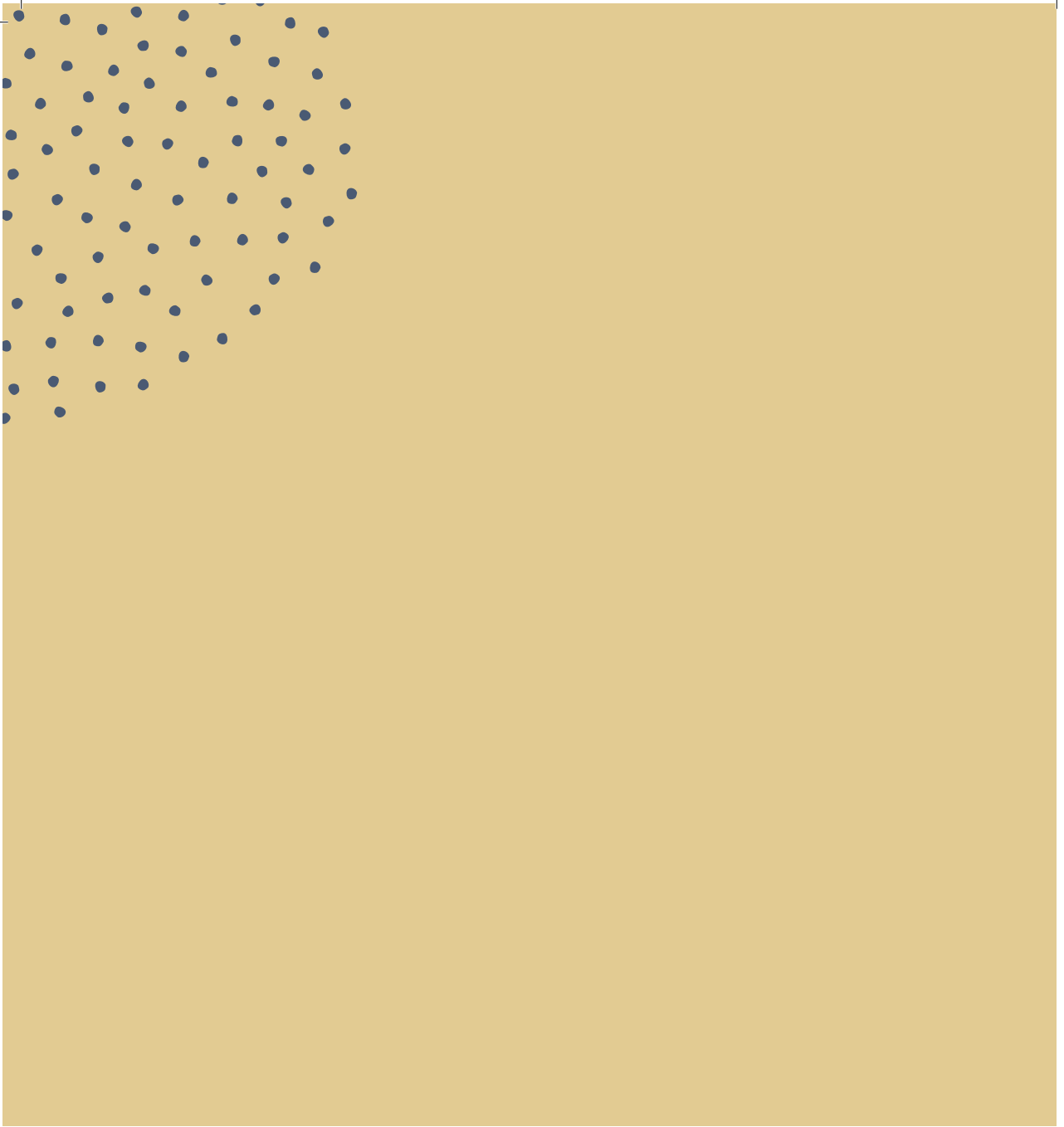
Str. 55:

- Marek Kuchciński w 1975 r.

- Marek Kuchciński w 1977 r., gra na kongach.

Str. 63:

- Stanisław Koba przygotowuje prezentację swoich prac w Krasiczynie podczas polsko-brytyjskiej konferencji obywatelskiej, wrzesień 1990 r.



Tekst: Marta Olejnik

Copyright by Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej

Copyright by Przemyskie Towarzystwo Kulturalne

ISBN-978-83-66840-18-8